



Juliusz Verne

Edom



ISBN 978-83-66980-40-2



Przygody rodziny Ratonów (baśń o wróżkach)
Dzień amerykańskiego dziennikarza w 2890 roku
Pan Re z krzyżykiem i panna Mi z bemołem
Pierre Jean (Opowieść na Boże Narodzenie)

Edom

Błaga

Juliusz Verne

EDOM

I INNE OPOWIADANIA

Juliusz Verne



EDOM

I INNE OPOWIADANIA

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak, Barbara Poniewiera

**Sto trzecia publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuły oryginałów francuskich:

*Edom, Pierre-Jean, Le Humbug. Mœurs américaines,
Au XXIX^e siècle. La journée d'un journaliste américain en 2890,
M. Ré-Dièze et Mlle Mi-Bémol, Aventures de la famille Raton
(conte de fées)*

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2022, Barbara Poniewiera, 2022

36 ilustracji cz.-b., 39 kolorowych kart tablicowych i 2 mapki
© Copyright for the illustration by Damian Christ, 2022

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk, Krzysztof
Czubaszek

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-66980-40-2

Wstęp

Zgodnie ze złożonymi już dość dawno obietnicami, ukazuje się kolejny, czwarty tom „Biblioteki Andrzeja”, w którym zostały zebrane kolejne opowiadania Juliusza Verne’a. Jest to jakby „powtórzenie” tomu 39. „Biblioteki Andrzeja”, ale tym razem przedstawione utwory są wersjami pochodzącymi z rękopisów lub najbardziej do nich zbliżonymi, opracowanymi przez wybitnych vernistów.

Uważni i wierni miłośnicy twórczości autora cyklu *Nadzwyczajne Podróże*, którzy nie mieli szczęścia nabyć wcześniejszych tomików, wydawanych w niewielkich nakładach, będą mieli okazję zapoznać się z kolejnym zbiorem jego krótkich form prozatorskich.

W prezentowanym zbiorze znajdziemy różne nurty twórczości J. Verne’a: obyczajowy, przygodowy, a także fantastyczny. Wszystkie utwory zilustrowano ładnymi grafikami Damiana Christa. Mam nadzieję, że utwory zawarte w tym tomie „Biblioteki Andrzeja” zostaną przyjęte z życzliwością i pozwolą poszerzyć wiedzę o twórczości naszego idola, Juliusza Verne’a.

Andrzej Zydorczak

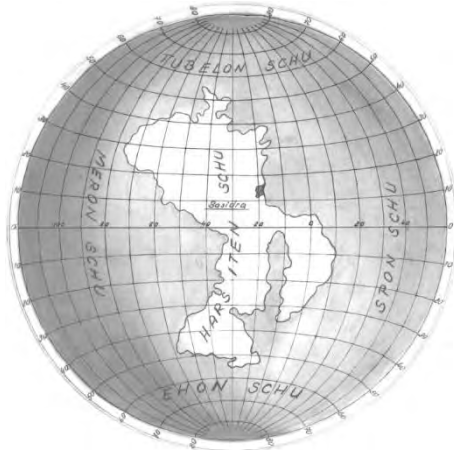
Edom



Edom

I

Zartog Sofr Ai Sr – to znaczy doktor, trzeci reprezentant męski sto pierwszego pokolenia rodu Sofrów – siedł powoli główną ulicą Basidry, stolicy Hars Iten Schu, innymi słowy Cesarstwa Czterech Mórz. Rzeczywiście cztery morza: Tubélone czyli Północne,



Ehone czyli Południowe, Spone czyli Wschodnie i Mérone czyli Zachodnie, otaczały ten rozległy kraj, o bardzo nieregularnym kształcie, którego najdalej wysunięte przylądki dosięgały – używając miar znanych czytelnikowi, to jest współrzędnych geograficznych – czwartego stopnia długości wschodniej i sześćdziesiątego drugiego stopnia długości zachodniej oraz pięćdziesiątego czwartego stopnia szerokości północnej i pięćdziesiątego piątego stopnia szerokości południowej. Co do wielkości obszarów zajmowanych przez poszczególne morza to można je było oceniać tylko w przybliżeniu, ponieważ tworzyły jakby jeden ocean. Gdyby jakiś żeglarz wypłynął z jakiegokolwiek punktu wybrzeża i kierował się prosto przed siebie, z całą pewnością przybyłby do

lądu w punkcie wybrzeża położonym po przeciwnej stronie od tego, z którego wypłynął. Dlaczego? Ponieważ na całej powierzchni globu nie istniał żaden ląd, oprócz zajmowanego przez Hars Iten Schu.

Sofr szedł powolnym krokiem, przede wszystkim dlatego, że było bardzo ciepło. Zaczynała się gorąca pora roku i na Basidrę, położoną nad brzegiem Spone Schu, czyli Morza Wschodniego, poniżej dwudziestego stopnia na północ od równika, słońce, stojące prawie w zenicie, wysyłało istny wodospad promieni.

Jednak kroki Sofra, uczonego zartoga, bardziej niż zmęczenie i ciepło spowalniał ciężar myśli kłębiących się w jego głowie. Bez przerwy pocierając z roztargnieniem czoło ręką, wracał myślami do niedawno zakończonego posiedzenia, na którym tyłu elokwentnych mówców, do grona których także i on się zaliczał, wspaniale obchodziło sto dwięćdziesiątą piątą rocznicę powstania Cesarstwa.

Jedni przedstawiali jego historię, to znaczy jednocześnie historię całej ludzkości. Opowiadali o Mahart Iten Schu, Ziemi Czterech Mórz, podzielonej w początkowym okresie między ogromną liczbę dzikich plemion, które nic o swoim istnieniu nie wiedziały. Najstarsze podania i legendy opowiadały właśnie o tych pierwotnych plemionach. Nikt natomiast nie umiał nic powiedzieć o wcześniejszym okresie i dopiero obecnie nauki przyrodnicze zaczęły dostrzegać wątłe światło w nieprzeniknionych ciemnościach przeszłości. W każdym razie te zamierzchłe czasy wymknęły się spod oceny historii, która pierwsze mgliste i nieokreślone pojęcia i fakty odnosiła do pradawnych plemion, porozrzucanych po całym kontynencie.

Poza granicą ośmiu tysięcy lat istnienia historia Mahart Iten Schu, stopniowo bardziej pełna i bardziej dokładna, opowiadała jedynie o bitwach i wojnach, początkowo jednego osobnika z drugim, potem rodziny z rodziną, wreszcie plemienia z plemieniem. Każda żyjąca istota ludzka, każda zbiorowość, mała czy też duża, w czasie długich wieków za jedyny cel swego życia stawiała zapewnienie sobie przewagi nad rywalami i starała się różnymi sposobami, często sprzecznymi ze sobą, podporządkować ich swoim prawom.

Od mniej więcej ośmiu tysięcy lat dzieje ludzkości zaczynały stawać się bardziej wyrazistsze. Na początku drugiego z czterech okresów, na które zazwyczaj dzielono dzieje Mahart Iten Schu, legenda zaczynała zasługiwać coraz więcej na miano historii. Zresztą, czy to była historia czy tylko legenda, treść opowiadań prawie się nie zmieniła. Ciągłe relacjonowały o rzeziach i masakrach. Co prawda nie dotyczyło to walk plemiennych lecz wojen między istniejącymi już wtedy narodami. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, ten drugi okres dziejów niezbyt się różnił od pierwszego.

W podobny sposób działo się w okresie trzecim, który zakończył się zaledwie dwieście lat temu, po czasie trwania blisko trzy razy dłuższym. Ta trzecia epoka była może jeszcze bardziej straszna niż poprzednie, bowiem w tych czasach ludzie, zgrupowani w niezliczonych armiach, z jakąś niezaspokojoną furią zraszali ziemię swoją krwią.

Nieco mniej niż osiem wieków przed dniem, w którym zartog Sofr szedł główną ulicą Basidry, ludzkość, po wstrząsach, które ogarnęły cały kontynent, wreszcie się ukształtowała. W tym czasie broń, ogień i siła wypełniały już tylko pewną część życia tej społeczności, ponieważ słabsi ulegli silnym, a ludzie zamieszkujący Mahart Iten Schu utworzyli trzy jednolite narody. W każdym z nich czas zacierał różnice między zwycięzcami i pokonanymi. Wtedy to jeden z tych narodów postanowił podbić swoich sąsiadów. Mieszkający w centrum Mahart Iten Schu Andarti ha Sammgor, zwani inaczej Ludźmi o Brązowych Twarzach, walczyli bez litości o poszerzenie swoich granic, w których dusiła się ich łatwo rozmnażająca się i gorąca rasa. Kolejno, za cenę prowadzonych nie raz stuletnich wojen, zwyciężyli naród Andarti Mahart Horis, to jest Ludzi z Krainy Śniegu, zamieszkujących obszary południowe, i Andarti Mitra Psul, Ludzi Nieruchomej Gwiazdy, których imperium leżało na północy i zachodzie globu.

Blisko dwieście lat upłynęło od czasu jak ostatni bunt tych dwóch byłych ludów został utopiony w potokach krwi, a na ziemi nastąpiła wreszcie era pokoju. To był właśnie ten czwarty okres historii. Jedno Cesarstwo zastąpiło istniejące ongiś trzy narody, obecnie całkowicie podporządkowane władzy w Basidrze, a w jedności politycznej roz-

pływały się poszczególne rasy. Nikt już więcej nie wspominał o Ludziach o Brązowych Twarzach, Ludziach z Krainy Śniegu czy Ludziach Nieruchomej Gwiazdy. Ziemię zamieszkiwał tylko jeden jedyny naród, Andarti Iten Schu, czyli Ludzie Czterech Mórz, w którym połączyły się wszystkie cechy poprzednich narodów.

Ale oto po tych dwustu latach spokoju wydawało się, że bliski jest moment nadejścia piątego okresu. Niepokojące pogłoski, dochodzące nie wiadomo skąd, krążyły już od jakiegoś czasu pomiędzy ludem. Pojawili się myśliciele budzący w duszach ludzi wspomnienia ocalałe po przodkach, które wydawały się już dawno zapomniane. Wskrzeszono stare podziały na rasy w nowej formie, charakteryzującej się nowymi słowami. Mówiono powszechnie o „atawizmie”, „pokrewieństwach”, „narodowościach” itp. Wszystkie te słowa, powstałe niedawno, wychodzące na przeciw potrzebom, natychmiast zdobyły prawo obywatelstwa. W zależności od pochodzenia, wyglądu fizycznego, poglądów moralnych, interesów czy po prostu klimatu lub regionu, widać było, jak powstające ugrupowania rozrastały się powoli i zaczynały się burzyć. W jakim kierunku zwróci się ta rodząca się przemiana? Zaledwie powstawszy, Cesarstwo miało się rozpaść? Czy Mahart Iten Schu miała być znów podzielona, jak ongiś, między liczne ludy, lub przynajmniej, aby utrzymać jedność, byłby konieczny powrót do tych przerażających hekatomb, które przez tyle tysięcy uczyniły z ziemi kostnicę...?

Sofr ruchem głowy odrzucił te myśli. Ani on sam, ani nikt inny nie znał przyszłości. Dlaczego więc martwić się z góry wydarzeniami bardzo niepewnymi? Tak czy inaczej tego dnia nie należało roztrząsać takich złowróżbnych przypuszczeń. Dzisiaj wszyscy świętowali i rozprawiano jedynie o wielkości dostojnego Mogar Si, dwunastego cesarza Hars Iten Schu, pod którego berłem prowadzono wszechświat ku zaszczytnemu przeznaczeniu.

Jednocześnie zartogowi nie brakowało powodów do radości. Poza historykiem opisującym wspaniałości Mahart Iten Schu cała plejada uczonych z okazji tej imponującej rocznicy przedstawiła, każdy w swej specjalności, bilans wiedzy ludzkiej i określiła punkt, do którego po-

Wyniki badań poszukiwawczych prowadzonych przez Zartoga Sofra Ai Sr

0, 0 czas prowadzonych badań

humus		
humus		
humus		
humus		
	ok. 2000 - 3000 lat	
humus		
humus		
humus		
	ok. 20000 lat	
	wynurzenie się Mahart Iten Schu	
złoża namulowe		
humus		
	ok. 35000 lat - 40000 lat	fragmenty broni lub maszyn tabliczki z napisami w nieznanym języku
		

wiek skorupy globu 400 000 lat

Wyniki badań poszukiwawczych prowadzonych przez Zartoga Sofra Ai Sr

prował ludzkość wieloletni wysiłek. Otóż jeżeli pierwszy snuł, w pewnej mierze, smutne refleksje, opowiadając jaką powolną i krętą drogą ludzkość oddaliła się od swej pierwotnej zwierzęcości, to inni dali swym słuchaczom powody do zasłużonej dumy.

Doprawdy porównanie, kim był człowiek przybywając goły i bezbronny na ziemię i kim był obecnie, mogło zaiste budzić podziw. Na przestrzeni wieków, pomimo waśni i nienawiści bratobójczych, ani na jedną chwilę nie przestawał toczyć on walki z przyrodą, powiększając z dnia na dzień obszar swego panowania. Jego tryumfalny pochód, powolny na samym początku, uległ zadziwiającemu przyspieszeniu jakieś dwieście lat temu. Z pewnością do cudownego rozkwitu nauki przyczyniły się stabilność instytucji politycznych i pokój panujący na świecie. Ludzkość żyła dzięki mózgowi, a nie tylko dzięki swoim członkom, pozwalała myśleć zamiast wycieńczyć się w szalonych wojnach i dlatego w ciągu dwóch ubiegłych wieków pracowała ciągle jednym rytmem w celu poznania i podporządkowania sobie materii.

Sofr, idąc ciągle w palącym słońcu długą ulicą Basidry, naszkicował z grubsza w myślach obraz osiągnięć człowieka.

To, co się stało na początku, a co ginie w pomroce dziejów, to wynalezienie pisma, aby można było utrwalać myśli. Następny wynalazek pojawił się ponad pięćset lat później – wymyślono środek umożliwiający rozpowszechnianie słowa pisanego w nieskończonej liczbie egzemplarzy, przy pomocy jednego wzoru przygotowanego raz na zawsze. Z tego właśnie wynalazku w gruncie rzeczy wynikały wszystkie inne. To dzięki niemu mózgi się rozruszały, a inteligencja każdego powiększała się o inteligencję sąsiada; odkrycia, w sensie teoretycznym i praktycznym, cudownie się rozmnożyły. Obecnie nie można już było ich policzyć.

Człowiek wnikał we wnętrzości ziemi i wydobywał stamtąd węgiel kamienny, hojny dostarczyciel ciepła; uwolnił ukrytą siłę wody i od tej chwili para ciągnęła po żelaznych wstążkach szyn ciężkie pociągi, lub też wprawiała w ruch niezliczone maszyny: ciężkie, delikatne czy też precyzyjne. Dzięki tym maszynom można było tkąć włókna roślinne i można było obrabiać według własnego upodobania

metale, marmury i inne skały. W mniej konkretnej, albo przynajmniej mniej bezpośredniej i mniej natychmiastowej do zastosowania dziedzinie przenikał stopniowo tajemnicę liczb i badał bez przerwy granice nieskończoności prawd matematycznych. Z ich pomocą jego myśli przebiegały niebo. Wiedział, że słońce było tylko gwiazdą grawitującą w przestrzeni wedle ściśle określonych praw, ciągnącą za sobą w tym płomiennym obiegu siedem planet swego orszaku. Poznał sztukę czy to łączenia w taki sposób pewnych ciał nieobrobionych, aby utworzyć nowe, nie mające nic wspólnego z pierwszymi, czy to dzielenia jakichś innych ciał na elementy składowe i pierwotne. Poddał rozbiorowi dźwięk, ciepło, światło i zaczynał określać ich naturę oraz prawa nimi rządzące. Pięćdziesiąt lat temu nauczył się wytwarzać tę siłę, której przerażającymi objawami są pioruny i błyskawice, i natychmiast uczynił ją swoją niewolnicą; już teraz ten tajemniczy czynnik przesyłał na nieobliczalne odległości zapisane myśli; jutro mógłby przysyłać dźwięk; pojutrze, bez wątpienia, światło... Tak, człowiek jest wielki, większy niż olbrzymi wszechświat, i bliski zapewne jest już dzień, kiedy będzie rozkazywał mu jak jedyny władca.

W takim razie, żeby poznać całą prawdę, do rozstrzygnięcia pozostał tylko ostatni problem: kim był ten człowiek, mniający się panem świata? Jak się pojawił na ziemi? Do jakiego nieznanego końca zdążał w swym nieustannym wysiłku?

Właśnie o tym rozległym problemie zartog Sofr prowadził rozważania w czasie uroczystości, z której teraz powracał. Bez wątpienia zaledwie dotknął powierzchni tego zagadnienia, ponieważ był to problem obecnie nie do rozwiązania i zapewne jeszcze długo takim pozostanie. Zaledwie jakichś kilka słabych promyków zaczynało dopiero rozświetlać tajemnicę. Czyż te promyki nie stały się silniejsze, kiedy zartog Sofr, ująwszy wszystko w systematyczne ramy, porządkując cierpliwie spostrzeżenia poprzedników i swoje własne obserwacje, stworzył teorię prawideł ewolucji materii ożywionej, prawa powszechnie teraz przyjętego, którego nikt nie starał się obecnie podważyć?

Ta teoria opierała się na trzech fundamentach.

Głównym była wiedza geologiczna, która, narodzisz się w momencie, kiedy pierwszy raz zaczęto kopać w głąb ziemi, udoskonalała

się równocześnie z prowadzonymi robotami górnictwymi. Skorupę globu poznano tak dokładnie, że odważono się określić jej wiek na czterysta tysięcy lat, a na dwadzieścia tysięcy lat najstarsze warstwy Mahart Iten Schu w formie, jaka istniała obecnie. Wcześniej kontynent ten znajdował się pod wodami morza, jak na to wskazywała gruba, nieprzerwana warstwa mułów morskich pokrywająca warstwy leżące poniżej. Co sprawiło, że ląd ten wynurzył się nad powierzchnię wód? Bez wątpienia nastąpiło to wskutek kurczenia się stygnącego globu. Co by nie powiedzieć na ten temat, wynurzenie się z głębin morskich Mahart Iten Schu należało uważać za pewne.

Nauki przyrodnicze dostarczyły Sofrowi dwa kolejne fundamenty jego systemu, udowadniając bliskie pokrewieństwo między poszczególnymi roślinami oraz pomiędzy zwierzętami. Sofr posunął się jeszcze dalej: udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że prawie wszystkie istniejące obecnie rośliny wywodzą się od jednej gatunku, ich morskiego przodka, i że prawie wszystkie zwierzęta zamieszkujące ląd i przestworza pochodzą od zwierząt morskich. Przez powolną ale ustawiczną przemianę dostosowały się do nowych warunków życia – najpierw najbliższe, następnie bardziej oddalone od tych prymitywnych form życia, i poprzez poszczególne stadia rozwoju dały początek znaczącej większości form żyjących, które zaludniały ziemię i powietrze.

Niestety, ta przemyślana teoria nie była pozbawiona słabych punktów. Że żyjące istoty świata zwierzęcego czy też roślinnego wywodziły się od przodków zamieszkujących wody morskie – to wydawało się bezsprzeczne dla prawie wszystkich – ale nie dotyczyło wszystkich. W rzeczywistości istniało kilka roślin i kilka zwierząt, którym niepodobna było przypisać pokrewieństwo z formami wodnymi. Był to jeden z dwóch słabych punktów tej systematyki.

Człowiek – Sofr nie krył tego wcale przed sobą – był następnym słabym ogniwem. Nie mogło być żadnej mowy o porównywaniu człowieka ze zwierzętami. Bez wątpienia pierwotne funkcje i własności, takie jak oddychanie, odżywianie, poruszanie się, były takie same i dokonały się albo przejawiały się widocznie w ten sam sposób, ale nieprzebyta przepaść istniała między formami zewnętrznymi, liczbą

i przeznaczeniem narządów. Jeżeli za pomocą łańcucha, któremu brakowało niewiele ogniw, można było powiązać znakomitą liczbę zwierząt z przodkami wywodzącymi się z morza, to jednak, jeśli idzie o człowieka, takie pochodzenie nie wchodziło w rachubę. Aby zachować bez zmian teorię ewolucji, należało koniecznie, bez żadnego głębszego uzasadnienia, przyjąć hipotezę istnienia wspólnego protoplasty mieszkańców wód i człowieka – protoplasty, na którego wcześniejsze istnienie nic, ale to zupełnie nic, nie wskazywało.

W stosownej chwili Sofr miał nadzieję znaleźć w ziemi argumenty potwierdzające jego kierunek myślenia. Na jego życzenie i pod jego kierunkiem przez kolejne długie lata prowadzono wykopaliska, lecz doprowadziły one jedynie do wyników diametralnie różnych od tych, jakich oczekiwał ich inicjator.

Po odkryciu cienkiej warstwy próchnicy utworzonej poprzez rozkład roślin i zwierząt takich samych albo podobnych do tych, które żyły obecnie, dotarto do grubej warstwy mułów, w której szczątki z minionych epok zmieniły swój charakter. W tym mułach nie znaleziono żadnych śladów istniejącej flory i fauny, ale ogromne nagromadzenie skamieniałości wyłącznie morskich, których pokrewne gatunki spotkać można było bardzo często obecnie w oceanach oblewających Mahart Iten Schu.

Czy nie należało zatem z tego wnioskować, że mieli rację geolodzy głosząc, iż niegdyś kontynent stanowił dno tych samych oceanów, i że Sofr nie popełnił pomyłki twierdząc, że przodkowie współczesnych przedstawicieli fauny i flory wywodzą się z morza? Czy, odrzucając wyjątki tak rzadkie, że można je uważać za wynaturzenia przyrody, formy wodne i formy lądowe nie były jedynymi, których ślady odkryto, jedne zaś wywodziły się z drugich?

Na nieszczęście dla tej ogólnej teorii dokonano jeszcze innych znalezisk. Na całej grubości warstwy humusu, aż do górnej części warstwy mułowej, porozrzucane były niezliczone kości ludzkie. Nie było nic wyjątkowego w tych odłamkach szkieletów i po ich zbadaniu Sofr musiał zarzucić myśl o organizmach pośrednich, których istnienie

potwierdziłoby jego teorię. Te kości należały do szkieletów ludzkich, i nic ponadto.

Jednakże już wkrótce zauważono pewną osobliwość, dość godną uwagi. Aż do pewnego okresu, który z grubsza można było oszacować na dwa albo trzy tysiące lat, im bardziej starsze były znaleziska, tym odkrywane czaszki były coraz mniejsze. Natomiast poza tym stadium progresja odwróciła się i od tego czasu im bardziej cofano się w przeszłość, tym objętość czaszek, a zatem i pojemność mózgów, które zawierały, była coraz większa. Najbardziej okazałe czaszki były spotykane pomiędzy szczątkami, skądinąd bardzo rzadkimi, znalezionymi w górnej części warstwy mułu. Dokładne badanie tych czcigodnych szczątków nie pozwalało poddawać w wątpliwość, że ludzie żyjący w tej odległej epoce osiągnęli wówczas najwyższy rozwój umysłowy, dużo wyższy od swoich następców, nawet porównywalny z ludźmi żyjącymi w tych czasach co zartog Sofr. Tak więc podczas tych stu sześćdziesięciu lub stu siedemdziesięciu wieków miała miejsce niewątpliwa regresja, po której nastąpił kolejny rozwój umysłowy człowieka.

Sofr, zaniepokojony tymi dziwnymi odkryciami, jeszcze intensywniej zaczął przeszukiwać głębiny ziemi. Zbadano bardzo dokładnie warstwę mułu o takiej grubości, że, podług bardziej wyważonych opinii, tworzenie się jej musiało trwać przynajmniej piętnaście do dwudziestu tysięcy lat. Wielkim zaskoczeniem było znalezienie poniżej tych warstw jeszcze jednej, niezbyt grubej i starej warstwy humusu, następnie, poniżej tego pokładu próchnicy, skały o różnym składzie, w zależności od miejsca poszukiwań. Ale najwyższe zdumienie wywołał fakt powtórnego znalezienia w tych tajemniczych głębinach kilku szczątków, niewątpliwie pochodzenia ludzkiego. To były szczątki ludzkich kości, jak również fragmenty broni lub maszyn, kawałki naczyń glinianych, fragmenty tabliczek zapisane w nieznanym języku, twarde, misternie wygładzone kamienie, czasem rzeźbione w formie figurek, prawie nieuszkodzonych, delikatnie zdobione części mebli itd. Z całości tych znalezionych rzeczy wyprowadzono logiczny wniosek, że już czterdzieści tysięcy lat temu, to znaczy dwadzieścia tysięcy lat przed chwilą, w której pokazali się, nie wiadomo skąd ani jak, pierwsi przed-

stawiciele współczesnej rasy, na tych samych terenach żyli już ludzie o wysoko rozwiniętej cywilizacji.

Tak brzmiał ogólnie przyjęty wniosek. Jednakże miał on co najmniej jednego przeciwnika.

Tym przeciwnikiem był nie kto inny, jak sam Sofr. Przyjmować, że ci ludzie, oddzieleni od swoich następców przepaścią czasową liczącą dwadzieścia tysięcy lat, byli tymi, którzy pierwsi zaludnili kontynent, według jego oceny było zupełną nedoręcznością. Jeżeli by tak było, to skąd przybyliby potomkowie przodków, od dawna nieistniejących, z którymi nie mieli żadnego powiązania? Raczej należałoby poczekać i żyć w nieświadomości, niż przyjąć tak absurdalną hipotezę. Z tego, że te osobliwe fakty nie dawały się wyjaśnić, nie należało wnioskować, że nie można ich było wytłumaczyć. Pewnego dnia znajdzie się dla nich wyjaśnienie. Do tego czasu Sofr postanowił nie czynić żadnych spekulacji i trzymać się swoich pryncypiów, całkowicie zadawałających proste umysły.

Życie na planecie dzieliło się na dwie fazy: przed człowiekiem i po pojawieniu się człowieka. W czasie pierwszej glob znajdował się w stanie ciągłych przekształceń, nie nadawał się z tego powodu do zamieszkania i rzeczywiście nie był zamieszkały. W drugiej fazie skorupa globu osiągnęła stopień zwartości pozwalający na stabilizację warunków. Natychmiast, mając wreszcie solidne i stabilne podłoże, pojawiło się życie. Najpierw ukazały się najbardziej prymitywne jego formy, które na przestrzeni wieków stawały się coraz bardziej złożone, by w końcu doprowadzić do powstania człowieka, jego ostatniego i najdoskonalszego przedstawiciela. Człowiek, zaledwie pojawił się na lądzie, zaczął – i kontynuuje to bez przerwy do tej pory – rozwijać się i doskonalić. Ten powolny, ale ciągły i pewny marsz, prowadzi człowieka do wyznaczonego celu, którym jest doskonała wiedza i absolutna dominacja we Wszechświecie.

Owładnięty gorączką swoich rozmyślań, Sofr minął swój dom. Złorzeczając, szybko zawrócił w miejscu.

„Jakże to tak! – mówił sam do siebie. – Przyjmować, że człowiek, choć od tamtej chwili minęło czterdzieści tysięcy lat, osiągnął już był stopień cywilizacji porównywalny, jeżeli nie przewyższający ten, któ-

rym cieszymy się obecnie, i że jego wiedza, jego dokonania przepadły, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu, i to do tego stopnia, żeby zmusić potomków do zaczynania pracy na nowo od podstaw, jak gdyby byli pionierami świata nigdy przed nimi niezamieszkałego? Ależ to oznaczałoby wyparcie się przyszłości, znaczyłoby głoszenie tezy, że wszelki nasz wysiłek jest daremny i że wszelki postęp jest tak nietrwały jak jakiś pęcherzyk piany na powierzchni fali!”.

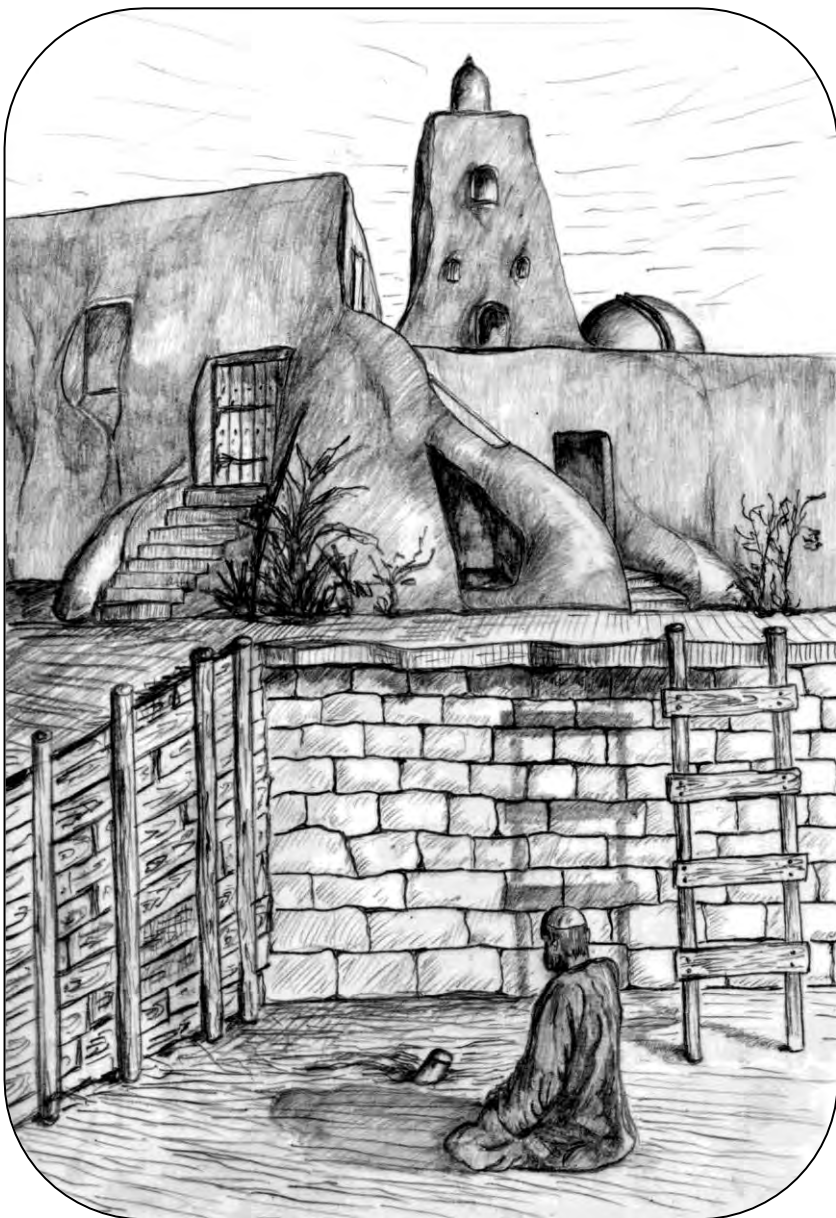
Sofr zatrzymał się wreszcie przed swym domem.

„Upsa ni...! hartchok!” – Nie! Doprawdy to niemożliwe! – „Andart mir’hoš spha!” – Człowiek jest Panem Wszystkich Rzeczy! – mrucał, otwierając drzwi.

Kiedy zartog odpoczął kilka chwil, zjadł ze smakiem obiad i położył się, aby odbyć swą codzienną drzemkę. Jednak pytania, które wzburzyły jego umysł w czasie drogi powrotnej do miejsca zamieszkania, nie przestały go prześladować i spędzały mu sen z powiek.

Choć jego pragnieniem było ustalenie spójności zasad, jakimi rządziła się przyroda, miał za dużo rozumu krytycznego, by nie uznawać słabości swej teorii o pochodzeniu i kształtowaniu się człowieka. Naginać fakty tak, aby je dopasować do uprzednio stworzonej teorii, to był sposób na niezupełne przyznawanie racji innym, lecz nie odnosił się do niego samego.

Gdyby jednak Sofr, ten bardzo wybitny doktor nauk, zamiast uczonym był jednym z tych nieoświeconych ludzi, nie miałby takich problemów. W samej rzeczy prości ludzie, nie tracąc czasu na głębokie rozważania, zadawali się przyjmowaniem bez zmużenia oka starego podania, które od niepamiętnych czasów przekazywano z ojca na syna. Tłumacząc jedną tajemnicę z wykorzystaniem innej, wyjaśniano pochodzenie człowieka interwencją siły wyższej. Pewnego dnia ta pozaziemska potęga stworzyła z niczego Edoma i Hivę, pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę, których potomkowie zaludnili wkrótce ziemię. Tak więc wszystkie zdarzenia w bardzo logiczny sposób łączyły się ze sobą.



Zaintrygowany, zszedł na samo dno dołu i odgarnął z tego błyszczącego przedmiotu ziemię, pokrywającą go prawie w całości.

„To zbyt proste wytłumaczenie! – rozmyślał Sofr. – Jeśli straci się nadzieję na zrozumienie czegoś, doprawdy bardzo łatwo wtedy przypisywać to interwencji bóstwa. W ten sposób zbędne stają się poszukiwania rozwiązań zagadek wszechświata, a wszelkie problemy zostają usunięte, zanim jeszcze zostały postawione. Gdyby jeszcze to ludowe podanie nie było tak powierzchowne, lecz opierało się na poważnych fundamentach...! Ale ono nie opierało się na niczym! Była to tylko tradycja, zrodzona w czasach braku wiedzy i przekazywana następnie z pokolenia na pokolenie. A dodatkowo to imię: Edom...! Skąd się wzięło to dziwaczne słowo o obcym brzmieniu, które nie wydawało się należeć do języka Andarti Iten Schu? Nad tym problemem filologicznym biedziło się wielu uczonych, nie mogąc znaleźć zadawającej odpowiedzi... Zostawmy to! Wszystko to były brednie, niegodne, by zajmować uwagę uczonego zartoga!”.

Sofr, zdenerwowany, udał się do ogrodu. Zresztą była to pora, o której miał zwyczaj tam przebywać. Zachodzące słońce nie posyłało już na ziemię tak dokuczliwego żaru, a od Spone-Schu zaczynał dmuchać letni wietrzyk. Zartog błakał się alejami, w cieniu drzew, których dygoczące liście szeleściły na wietrze od pełnego morza. Powoli jego nerwy odnajdywały swoją zwykłą równowagę. Zdołał już odrzucić absorbujące go myśli i cieszył się spokojem miejsca; przyglądał się owocom, temu bogactwu ogrodów, i kwiatom, będących ich ozdobą.

Podczas spaceru przypadek doprowadził Sofra w pobliże domu, obok którego znajdował się głęboki wykop, w którym leżały liczne narzędzia. Miały tu wkrótce zostać położone fundamenty pod nową budowlę, która podwoiłaby powierzchnię jego laboratorium. Ale w tym świątecznym dniu robotnicy porzucili pracę, aby móc oddawać się przyjemnościom.

Sofr pobieżnie oceniał roboty, jakie już wykonano i jakie pozostawały jeszcze do zrobienia, kiedy w półmroku zalegającym wykop przyciągnął jego uwagę jakiś błyszczący punkt. Zaintrygowany, zszedł na samo dno dołu i odgarnął z tego błyszczącego przedmiotu ziemię, pokrywającą go prawie w całości.

Wydostawszy się z powrotem na światło dzienne, zartog zaczął oglądać swoje znalezisko. Był to rodzaj futerału wykonanego z nieznanego mu metalu o szarawej barwie i ziarnistej budowie, który z powodu długiego przebywania w ziemi stracił nieco swój blask. W jednej trzeciej jego długości widoczna szczelina wskazywała, że futeerał składał się z dwóch części, wchodzących jedna w drugą. Sofr spróbował go otworzyć.

Przy pierwszej próbie metal, nadgryziony zębem czasu, obrócił się w pył, odkrywając jednocześnie drugi przedmiot, który znajdował się wewnątrz.

Substancja, z jakiej była zrobiona ta rzecz, także była dla zartoga nowością, podobnie jak metal, który do tej pory ją osłaniał. Był to zwój kartek ułożonych w warstwy i pokrytych dziwacznymi znakami, których regularność wskazywała, że był to rodzaj pisma, ale pisma nieznanego, jakiego jeszcze, lub nawet podobnego, zartog nigdy nie widział.

Sofr, drżąc cały z emocji, pobiegł do swego laboratorium i, zamknawszy się w nim, rozłożył ostrożnie cenny dokument, po czym zaczął go badać długo i starannie.

Tak, dokument był pokryty jakimś pismem, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Jednakże to pismo nie przypominało żadnego innego znanego od początku czasów historycznych, stosowanego na całej powierzchni ziemi.

Skąd pochodził ten dokument? Co zawierał? Te dwa pytania kołatały się po głowie Sofra.

By odpowiedzieć na pierwsze pytanie, należało koniecznie poznać odpowiedź na drugie. Chodziło więc o to, aby przede wszystkim odcyfrować pismo, następnie przetłumaczyć tekst, gdyż z góry można było założyć, że język dokumentu był tak samo nieznanym jak i pismo.

Czy to było możliwe? Zartog Sofr zupełnie się nad tym nie zastanawiał i, nie zwlekając ani chwili, wziął się gorączkowo do pracy.

Ta praca trwała długo, bardzo długo, całe lata. Sofr pracował bez wytchnienia. Nie zniechęcał się wcale i cały czas prowadził systematyczne badania tajemniczego dokumentu, krok po kroku przybliżając się do rozwiązania zagadki. Nadszedł wreszcie dzień, w którym

znalazł klucz do tego niezrozumiałego rebusu. Następnie nadeszła chwila, kiedy, pomimo wielu znaków zapytania i z dużymi trudnościami, mógł przetłumaczyć znaleziony tekst na język Ludzi Czterech Mózg.

Otóż, kiedy to się stało, zartog Sofr Ai Sr mógł przeczytać, co następuje:



II

Rosario, 24 maja 2...

Datuję w ten sposób początek mojego opowiadania, chociaż w gruncie rzeczy zostało ono spisane w zupełnie innym dniu, bardzo niedawno, i w zupełnie innym miejscu. Ale w tej opowieści, moim zdaniem, niezbędne jest zachowanie porządku czasowego, dlatego więc przyjąłem formę „dziennika”, pisanego z dnia na dzień.

Tak więc dwudziestego czwartego maja rozpoczyna się opowiadanie o owych straszliwych wydarzeniach, z których zamierzam zdać relację dla pouczenia tych, którzy nastaną po mnie, jeżeli ludzkość ma jeszcze szansę na jakąkolwiek przyszłość.

W jakim języku będę pisał? W angielskim albo w hiszpańskim, którymi mówię biegle? Nie, będę pisał w języku mojego kraju – francuskim.

Tamtego pamiętnego dnia, dwudziestego czwartego maja, zaprosiłem kilku przyjaciół do mojej willi w Rosario.

Rosario jest, albo raczej było, miastem meksykańskim, położonym na wybrzeżu Pacyfiku, trochę na południe od zatoki Kalifornijskiej. Zamieszkałem tutaj dziesięć lat temu, by kierować kopalnią srebra, której zostałem właścicielem. Moje interesy rozwijały się w zadziwiający sposób. Byłem człowiekiem bogatym, nawet bardzo bogatym – jakże to słowo dzisiaj mnie bardzo rozśmiesza! – i zamierzałem już niebawem wrócić do Francji, do mego rodzinnego kraju.

Moja willa, więcej niż luksusowa, położona była w najwyższym punkcie rozległego ogrodu, schodzącego po zboczu w kierunku morza i kończącego się nagle urwistym, pionowym brzegiem, mającym ponad sto metrów wysokości. Z tyłu za moją willą teren stale się podnosił. Korzystając z wijącej się w górę szosy z ostrymi zakrętami, można było dotrzeć na szczyty gór, które wznosiły się ponad tysiąc pięćset

metrów ponad poziomem morza. Często, chcąc urządzić sobie przyjemną przejażdżkę, wspinałem się na to pasmo górskie swoim samochodem, wspinałym i potężnym, trzydziestopięciokonnym faetonem, jedną z lepszych francuskich marek.

Mieszkałem w Rosario z moim synem Jeanem, przystojnym dwudziestoletnim młodzieńcem. Po śmierci dalekich krewnych, ale bliskich memu sercu ludzi, przygarnąłem ich córkę Helenę, która pozostała na świecie sama i bez pieniędzy. Od tego czasu upłynęło później pięć lat. Mój syn Jean osiągnął wiek dwudziestu pięciu lat, a moja pupilka Helene skończyła dwadzieścia. W głębi swego serca przeznaczyłem ich sobie.

Nasza służba składała się z kamerdynera Germaina, bardzo rozgarniętego szofera Modesta Simonata oraz dwóch kobiet, Edith i Mary, córek mojego ogrodnika Georgesa Raleigha i jego żony Anny.

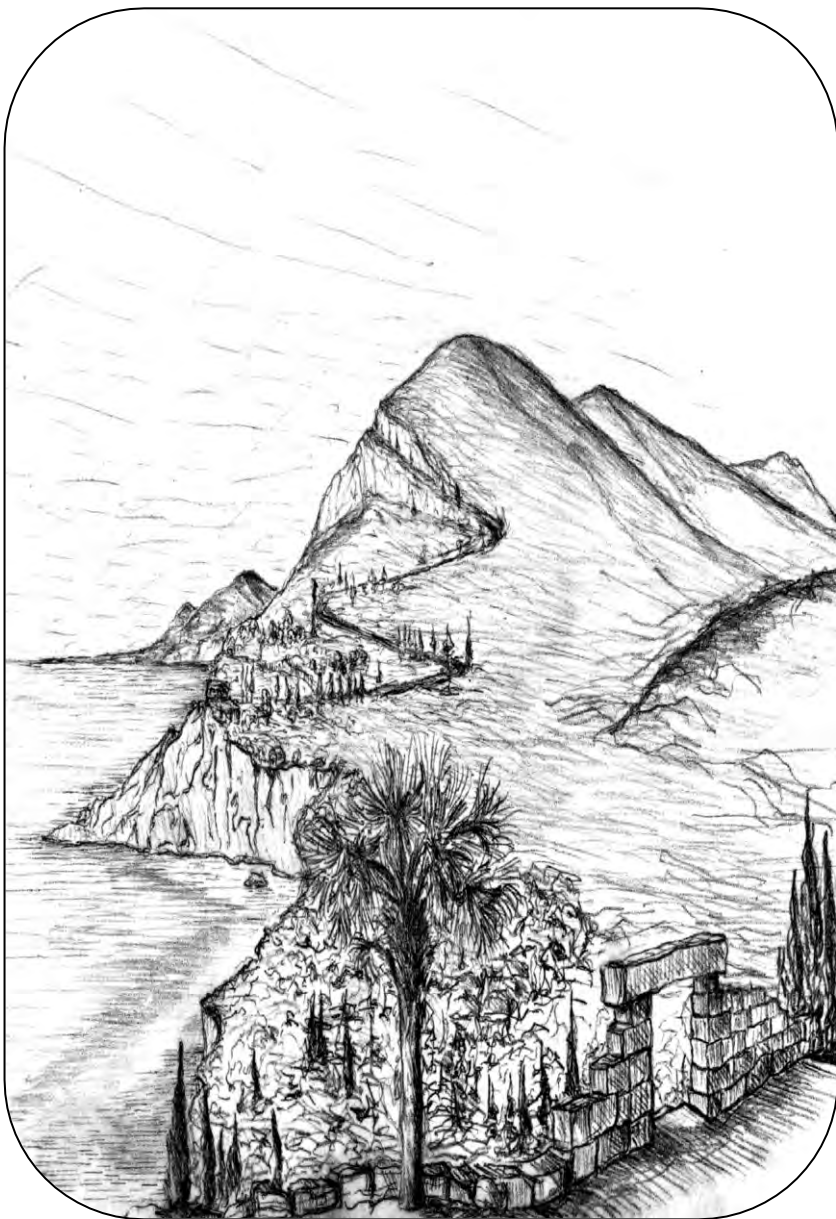
Tamtego dnia, dwudziestego czwartego maja, siedzieliśmy w osiem osób przy stole, w świetle lamp elektrycznych, zasilanych przez generatory prądotwórcze umiejscowione w ogrodzie. Poza gospodarzem domu, jego synem oraz wychowanicą w domu znajdowało się pięciu gości, z których trzech należeli do rasy anglosaskiej, a dwaj do rasy meksykańskiej.

Doktor Bathurst należał do tych pierwszych, natomiast doktor Moreno do drugich. Byli to dwaj uczeni, w pełnym tego słowa znaczeniu, co nie przeszkadzało im bardzo rzadko zgadzać się ze sobą. Poza tym byli to dzielni ludzie i najwspanialszy na świecie przyjaciele.

Dwaj pozostali Anglosasi to: Williamson, właściciel poważnego przedsiębiorstwa rybnego w Rosario, i Rowling, śmiałek, który w okolicach miasta założył gospodarstwo ogrodnicze produkujące nowalijki, dzięki któremu był na dobrej drodze do zrobienia prawdziwej fortuny.

Jeśli idzie o ostatniego gościa, to był nim *señor* Mendoza, prezes sądu w Rosario, człowiek godny szacunku, wykształcony, prawy sędzia o nieskazitelnej reputacji.

Skończyliśmy posiłek, podczas którego nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Zapomniałem już nawet, o czym wtedy rozmawialiśmy,



Moja willa, więcej niż luksusowa, położona była w najwyższym punkcie rozległego ogrodu, schodzącego po zboczu w kierunku morza.

natomiast nie zapomnę nigdy tego, o czym mówiono, gdy już zapaliliśmy cygara.

Nie idzie o to, że ta pogawędka była sama w sobie jakoś szczególnie ważna, ale jakiegoś szczególnego posmaku dodał jej brutalny komentarz, który miał wkrótce nastąpić, i dlatego na zawsze zachowała się w mej pamięci.

Doszliliśmy do tego – mniejsza z tym, w jaki sposób – że zaczęliśmy rozmawiać o cudownych dokonaniach człowieka. W pewnej chwili doktor Bathurst powiedział:

– Pewne jest, że gdyby Adam (będąc Anglosasem, imię to wymawiał oczywiście *Edem*) i Ewa (wymawiał oczywiście *Iva*) powrócili na ziemię, byłiby bardzo mocno zdziwieni!

To był początek dyskusji. Moreno, żarliwy darwinista, zatwardziały zwolennik doboru naturalnego, zapytał Bathursta ironicznym tonem, czy ten wierzy poważnie w tę legendę o Ziemskim Raju. Bathurst odpowiedział, że wierzy przynajmniej w Boga, że istnienie Adama i Ewy jest potwierdzone przez Biblię, i że rezygnuje z dalszej dyskusji. Moreno stwierdził, że on wierzy w Boga co najmniej tak samo jak jego przeciwnik, ale pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta równie dobrze mogą być tylko mitami, symbolami, i że nie ma w tym nic bezbożnego przypuszczać, że w Biblii chciano w taki sposób przedstawić tchnienie życia, wprowadzone przez twórczą siłę do pierwszej komórki, z której powstały następnie wszystkie inne. Bathurst zripostował, że wyjaśnienie to jest pozornie słuszne, ale jeśli chodzi o niego, to bardziej mu pochlebia być bezpośrednim dziełem bożym, niż pośrednio być mniej lub bardziej prymitywnym stadium rozwoju rodu małp.

Wiedziałem moment, w którym sprzeczka, coraz żywsza, nagle zakończyła się, ponieważ przeciwnicy przez przypadek znaleźli pole do porozumienia się. Zresztą w ten sposób kończy się zwykle wiele rzeczy.

Tym razem, wracając do pierwszego tematu, dwaj antagoniści zgodzili się, że należy podziwiać – jakiegokolwiek byłoby pochodzenie ludzkości – wysoką kulturę, jaką osiągnęła, i z dumą wymieniali jej zdobycze. Bathurst chwalał chemię, doprowadzoną do takiego stopnia doskonałości, że zdążyła już zniknąć, by mieszać się z fizyką.

Te dwie dziedziny wiedzy tworzyły już właściwie jedną naukę, mającą za przedmiot badań tkwiącą właśnie w nich energię. Moreno wygłosił mowę pochwalną na część medycyny i chirurgii, dzięki którym zgłębiono charakter fenomenu życia i których cudowne odkrycia pozwalają mieć nadzieję, że żywe organizmy w niedalekiej przyszłości osiągną nieśmiertelność. Następnie obaj pogratulowali sobie wielkich osiągnięć dokonanych w astronomii. Wybiegając w stronę gwiazd, nie zajmowano się już teraz siedmioma planetami układu słonecznego.

Zmęczeni własnym entuzjazmem dwaj pochwalcy postanowili nieco odpocząć. Skorzystali z tego pozostali współbiesiadnicy, aby wtrącić swoje zdanie, i rozmowa zesła na rozległe pole praktycznych wynalazków, które tak głęboko zmodyfikowały warunki życia ludzi. Mówiono o kolejach żelaznych i parowcach przeznaczonych do przewozu ciężkich i kłopotliwych ładunków; o oszczędnych statkach powietrznych używanych przez dysponujących czasem podróżnych; o pneumatycznych lub elektrojonowych kanałach przecinających wszystkie kontynenty i morza, wykorzystywanych przez spieszących się ludzi. Rozmawiano o niezliczonych, najprzemysłniejszych maszynach, jednych lepszych od drugih, z których niejedna, w pewnych przemysłach wykonuje pracę stu ludzi. Rozmawiano o drukarstwie, fotografii kolorów i światła, dźwięku, ciepła i wszystkich wibracji eteru. Jednak przede wszystkim dyskutowano o elektryczności, czynniku tak podatnym, tak posłusznym i tak doskonale znanym w swych właściwościach i w swej istocie, który pozwala bez najmniejszego łącznika materialnego czy to wprowadzić w ruch jakiegokolwiek mechanizm, czy też kierować łodzią podwodną, statkiem morskim albo powietrznym; czy wreszcie umożliwia pisanie, mówienie i widzenie się na wielkie odległości.

Jednym słowem był to prawdziwy dytyramb, w którym, przyznając się, i ja miałem swój udział. Zgodzono się w tej kwestii, że ludzkość osiągnęła poziom intelektualny nieznany przed naszą epoką, co upoważniało do wiary w całkowite jej zwycięstwo nad naturą.

– Tymczasem – odezwał się swoim cichym, miękkim głosem prezes Mendoza, korzystając z chwili ciszy, która nastąpiła po końcowej

konkluzji – pozwolę sobie zauważyć, że ludy, dzisiaj już zaginione, które nie pozostawiły po sobie najmniejszego śladu, osiągnęły stopień cywilizacji równy albo podobny do naszego.

– Jakie? – zapytali jednocześnie wszyscy zgromadzeni.

– No cóż... na przykład Babilończycy...

Stwierdzenie to spowodowało wybuch wesołości. Ośmielić się porównywać Babilończyków do ludzi współczesnych!

– Egipcjanie... – kontynuował niewzruszenie don Mendoza.

Zgromadzeni zaśmiali się jeszcze głośniejsze.

– ... jak również Atlantydy, których nasza własna ignorancja uczyniła postaciami legendarnymi – ciągnął prezes sądu. – Nie wyliczam nieskończonej ilości innych ludów, poprzedników nawet samych Atlantydy, które mogły się narodzić, rozwinąć i zniknąć, o czym my nie mamy najmniejszego pojęcia.

Ponieważ don Mendoza upierał się przy swojej paradoksalnej tezie, aby go nie urazić, postanowiono udawać, że traktuje się ją na poważnie.

– Doprawdy, mój drogi prezesie – zaczął Moreno tonem, jakiego używa się, aby pojąć to rozum dziecka – nie twierdzisz chyba, tak sobie wyobrażam, że każdy z tych starożytnych ludów może być porównywany do nas? Dopuszczam, że w sferze duchowej mogły one dojść do podobnego stopnia kultury, ale w sferze materialnej?...!

– Dlaczego nie? – zaoponował don Mendoza.

– Ponieważ – wyjaśnił Bathurst – istotą naszych wynalazków jest to, że błyskawicznie rozprzestrzeniają się po całej ziemi. Zniknięcie jednego ludu, lub nawet większej ilości cywilizacji, nie spowodowałoby jednak utraty całości osiągnięć. Trzeba by jednoczesnego zniknięcia całej ludzkości, żeby całkowity dorobek ludzki został utracony. Pytam się pana: czy taka hipoteza jest możliwa do przyjęcia?

Podczas gdy tak sobie gawędziliśmy, procesy i zjawiska nie ustały, oddziaływując wzajemnie na siebie w nieskończoności tego wszechświata. W niespełną minutę po pytaniu zadany przez doktora Bathursta całkowitym jego efektem było jedynie wzmożenie sceptycyzmu Mendoza. Lecz my nie mieliśmy żadnej świadomości o dziejących się rzeczach i spokojnie dyskutowaliśmy, jedni rozparci na krzesłach,

inni oparci o stół, kierując współczujące spojrzenia na Mendozę, przypuszczając, iż przytłoczyła go replika Bathursta.

– Przede wszystkim – odpowiedział spokojnie prezes sądu – wiadomo jest, że na ziemi było niegdyś mniej mieszkańców niż obecnie; w ten sposób jeden lud mógł posiadać wyłącznie dla siebie całą wiedzę świata. Następnie – nie widzę nic absurdalnego w tym, przyjmując *a priori*, że cała powierzchnia globu mogła być zniszczona w tym samym czasie.

– Niemożliwe! – zawołaliśmy zgodnym chórem.

Właśnie dokładnie w tej chwili nastąpił ten niespodziewany kataklizm.

Jeszcze nie skończyliśmy wołać „niemożliwe!”, gdy nagle podniósł się niesłychany hałas. Ziemia drżała i uciekała nam spod nóg, willa trzęsła się w posadach.

Wstrząsani i wywracani, nękani niewypowiedzianym strachem, rzuciliśmy się pośpiesznie na zewnątrz.

Zaledwie przekroczyliśmy próg, gdy cały dom zawalił się, grzebiąc pod swymi gruzami prezesa Mendozę i mojego pokojowca Germaina, którzy biegli jako ostatni. Po kilku chwilach tak naturalnego przerażenia przygotowaliśmy się, aby przyjść im z pomocą, gdy nagle zauważyliśmy mego ogrodnika Raleigha, biegnącego razem z żoną z dolnej części ogrodu, gdzie mieszkał.

– Morze...! Morze! – krzyczał z całych sił.

Odwrociłem się w stronę oceanu i zamarłem w bezruchu, wprawiony w osłupienie. Nie dlatego, że zdawałem sobie sprawę z tego, co zobaczyłem, lecz dlatego, że natychmiast pojąłem, iż zwykła perspektywa uległa zmianie. Czyż jednak fakt, iż wygląd natury – tej, którą uważamy w istocie za niezmienną – uległ tak gwałtownej zmianie w ciągu kilku sekund, nie wystarczy, żeby zmrozić serce przerażeniem? Jednakże starałem się szybko odzyskać zimną krew. Prawdziwa wyższość człowieka nie tkwi w pokonywaniu czy dominowaniu nad przyrodą – dla myśliciela jest to zrozumienie, zmieszczenie tego olbrzymiego wszechświata w mikrokosmosie swego mózgu; dla człowieka czynu jest to zachowanie jasności umysłu w obliczu buntu materii, jest

to powiedzenie jej: „Zniszczyć mnie – niech i tak będzie! Poruszyć – nigdy!”.

Jak tylko odzyskałem swój zwykły spokój, zrozumiałem, czym różnił się obraz, który miałem przed oczami, od tego, w który przyzwyczajony byłem się wpatrywać. Urwisty brzeg po prostu zniknął i ogród mój obniżył się do poziomu morza, którego fale, po unicestwieniu domu ogrodnika, chłostały wściekle moje najniżej położone grządki kwiatowe.

Ponieważ było mało prawdopodobne, iż podniósł się poziom wody, należało absolutnie przyjąć, że to ziemia się zapadła. Osunięcie to przekraczało sto metrów, skoro faleza miała wcześniej taką wysokość, ale musiało się ono dokonać bardzo łagodnie, gdyż w ogóle tego nie zauważyliśmy, co wyjaśniałoby względny spokój oceanu.

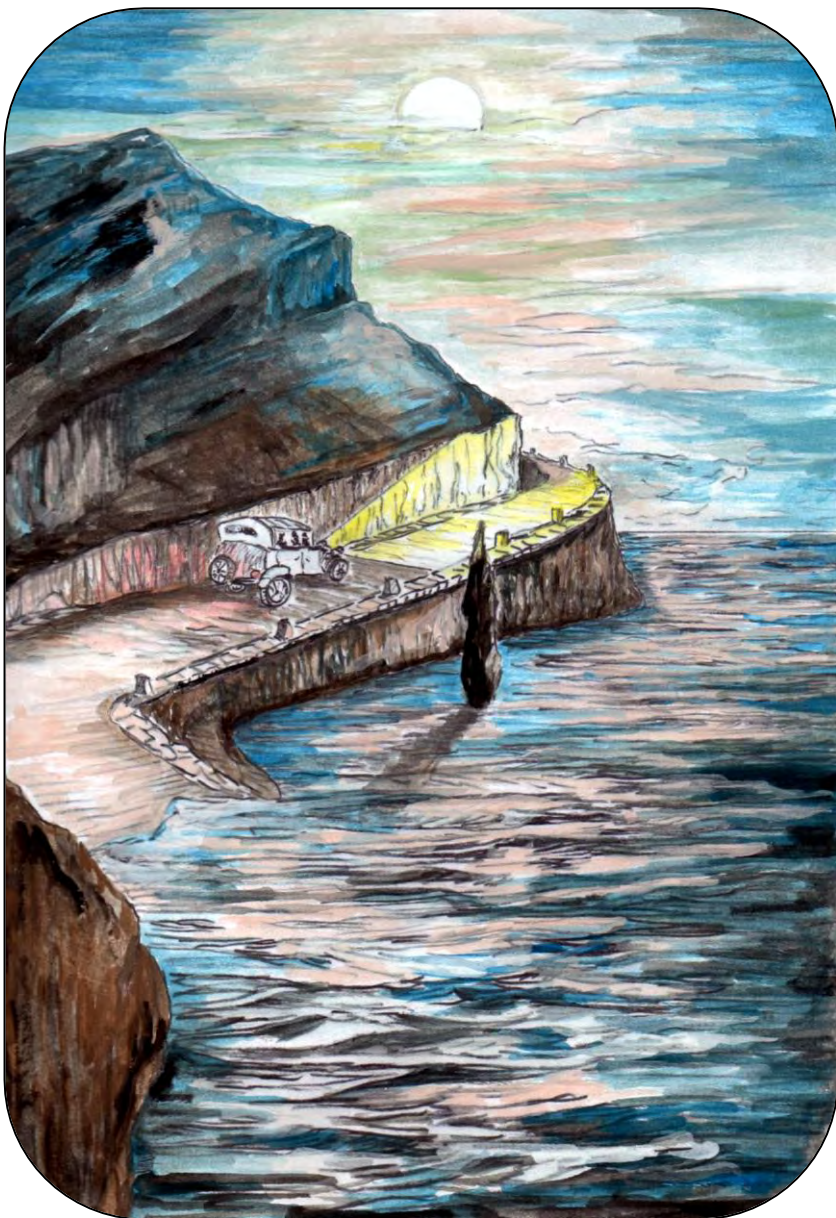
Krótką oceną sytuacji przekonała mnie, że moje przypuszczenie było prawidłowe, a nadto pozwoliła mi na stwierdzenie, iż osuwanie się ziemi trwało nadal. Rzeczywiście, morze posuwało się dalej z szybkością, jak mi się wydawało, bliską dwóch metrów na sekundę, czyli przeszło siedmiu kilometrów na godzinę. Wobec odległości, jaka nas dzieliła od pierwszych fal, mieliśmy przeto być pochłonięci w ciągu trzech minut, jeśli prędkość osuwania pozostanie taka sama.

Moja decyzja była błyskawiczna.

– Do auta! – krzyknąłem.

Zrozumiano mnie. Rzuciliśmy się wszyscy w stronę remizy i wyciągnęliśmy auto na zewnątrz. W mgnieniu oka włączyliśmy benzynę, a następnie stłoczyliśmy się bezładnie w samochodzie. Mój szofer Simonat uruchomił silnik, zasiadł za kierownicą, nacisnął sprzęgło i wyjechał na drogę na czwartym biegu, podczas gdy Raleigh, po otwarciu bramy do ogrodu, chwycił się przejeżdżającego auta i uczeplił się tylnych resorów.

Był to ostatni moment. W chwili gdy auto wyjechało na szosę nadbiegła jedna fala i, rozbryzgując się, umoczyła koła aż po same osie. Od tej chwili jednak mogliśmy kpić sobie z pościgu morza. Mimo swego nadmiernego ciężaru moja dobra maszyna mogła nas unieść poza uderzenia fal, chyba że osuwanie w przepaść miało trwać w nie-



Na próżno uciekaliśmy przed nią – woda nieugięcie podążała za nami.

skończoność. Ogólnie rzecz biorąc, mieliśmy przed sobą kawał drogi – co najmniej dwie godziny jazdy w górę, do wysokości wynoszącej około tysiąca pięciuset metrów.

Stwierdziłem jednakże, iż nie należy spieszyć się z ogłaszaniem zwycięstwa. Po pierwszym odskoku pojazdu, który nas przeniósł o dwadzieścia metrów od piany morskiej, dystans nie ulegał zmianie i Simonat na próżno dociskał pedał gazu do końca. Bez wątplenia ciężar dwunastu osób siedzących w samochodzie zmniejszył jego prędkość. Niemniej jednak prędkość ta była dokładnie równa prędkości goniącej nas wody, która niezmiennie pozostawała w tej samej odległości.

Wkrótce wszyscy, oprócz Simonata, zajętego prowadzeniem samochodu, zdali sobie sprawę z tej niepokojącej sytuacji. Popatrzyliśmy na drogę, którą zostawialiśmy za sobą. Nie było widać nic prócz wody. W miarę jak oddalaliśmy się, droga znikwała w morzu, które ją pochłaniało. Morze uspokoiło się. Nieliczne fałdki ginęły na coraz to nowym brzegu. Było to spokojne jezioro, które się nadymało, ciągle w jednakowym tempie powiększało i nie było nic równie przerażającego, jak ten pościg spokojnej wody. Na próżno uciekaliśmy przed nią – woda nieugięcie podążała za nami.

Simonat, który uparcie wpatrywał się w drogę, odwrócił się do nas i powiedział:

– Jesteśmy w połowie zbocza. Jeszcze tylko godzina wspinaczki.

Zadrżeliśmy. Rzecz straszna. Za godzinę osiągniemy szczyt i będziemy musieli zjeżdżać w dół, popędzani przez doganiające nas, niezależnie od naszej szybkości, płynne masy, które rzucą się za nami jak lawina.

Godzina minęła bez jakiegokolwiek zmiany naszej sytuacji. Już dostrzegaliśmy szczyt wieńczący zbocze, kiedy nasz samochód doznał gwałtownego wstrząsu, w wyniku czego raptownie skręcił i o mało co nie roztrzaskał się o stok przy drodze. W tym samym czasie tuż za nami wezbrała ogromna fala, popędziła do ataku drogą, wzniosła się i ostatecznie załamała się na samochodzie, który momentalnie pokrył się pianą... Czyżby morze miało nas pochłoniąć...?

Nie! Woda, bulgocąc, cofała się, podczas gdy silnik, przyspieszając nagle pracę, zwiększył naszą prędkość. Co było przyczyną tego raptow-

nego wzrostu szybkości? Uświadomił nam to krzyk Anny Raleigh: ta biedna kobieta zdała sobie sprawę, że męża jej nie ma już na resorach samochodu. Nie było wątpliwości – powracająca fala porwała nieszczęśnika i dlatego odciążony samochód żwawiej wdrapywał się po zboczu.

Nagle auto stanęło w miejscu.

– Co się stało? – spytałem Simonata. – Jakaś awaria?

Nawet w tak tragicznych okolicznościach duma zawodowa nie traci swoich praw. Simonat wzruszył pogardliwie ramionami, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że awaria jest nieznana szoferowi jego klasy, i spokojnie wskazał ręką na drogę. Zrozumiałem wtedy powód zatrzymania się.

Droga była ucięta mniej więcej dziesięć metrów przed nami. „Była ucięta” jest wyrażeniem właściwym, jeśli ma się na myśli ucinanie nożem. Poza ostrą krawędzią, która gwałtownie się urywała, była pustka, mroczna otchłań, na dnie której niemożliwością było cokolwiek rozróżnić.

Oglądnęliśmy się za siebie przerażeni, pewni, że wybiła nasza ostatnia godzina. Ocean, który ścigał nas aż do tej wysokości, nieuchronnie pochłonie nas za kilka sekund...

Wszyscy, z wyjątkiem nieszczęśliwej Anny i jej córek, które szlochały z całej duszy, krzyknęliśmy mile zaskoczeni. Nie! Woda nie podnosiła się już wyżej, albo – mówiąc ściślej – ziemia przestała się zapadać. Bez wątpienia wstrząs, jaki odczuliśmy, był ostatnim przejawem tego zjawiska. Ocean zatrzymał się, a jego powierzchnia utrzymywała się jakieś sto metrów poniżej miejsca, w którym zgromadziliśmy się wokół auta z pracującym jeszcze silnikiem, przypominającego zadyszane po szybkim biegu zwierzę.

Czy uda nam się wydostać z tej niebezpiecznej sytuacji? Dowiemy się dopiero o tym w dzień. Póki co, trzeba było czekać. Jedno po drugim, wyciągnęliśmy się więc na ziemi i, wydaje mi się, przebac mi Boże, że zasnąłem!

Zerwałem się na równe nogi obudzony jakimś potwornym hałasem. Która była godzina? Tego nie wiedziałem. W każdym razie jeszcze byliśmy pogrążeni w ciemnościach nocy.

Hałas dobiegał z niezgłębionej przepaści, w którą zwała się droga. Co się dzieje...? Przysiąc by można, że z wielką gwałtownością wpadają w nią masy wody... Tak było z pewnością, bowiem kłęby oparów docierały aż do nas i okryci byliśmy mgłą.

Następnie powoli powracał spokój... Wszystko ucichło... Niebo pojaśniało... Wstawał już dzień.

25 maja

Nie było większych tortur, niż powolne odkrywanie naszego rzeczywistego położenia! Początkowo rozróżnialiśmy jedynie najbliższe otoczenie, ale krąg widzenia rósł, powiększał się nieustannie, jakby nasza zwodzona nadzieja podnosiła, jedną po drugiej, nieskończoną ilość delikatnych zasłon. Wreszcie światło pełnego dnia rozwiało nasze ostatnie złudzenia.

Nasza sytuacja była jasna i można ją przestawić w kilku słowach: byliśmy na wyspie. Ze wszystkich stron otaczało nas morze. Jeszcze poprzedniego dnia dostrzeglibyśmy ocean szczytów, z których wiele przewyższało ten, na którym się znajdowaliśmy. Te wierzchołki zniknęły, podczas gdy nasz, bardziej od nich niepozorny, z powodów, które na zawsze pozostaną nieznane, zatrzymał się w swoim powolnym upadku. W miejscu pozostałych rozpościerała się nieograniczona tafla wody. Ze wszystkich stron nic, tylko morze. Zajmowaliśmy jedyny stały punkt olbrzymiego okręgu, obrysowanego przez horyzont.

Wystarczył nam jeden rzut oka, aby ocenić wszystkie wymiary tej wysepki, na której jakieś niezwykle szczęście pozwoliło nam znaleźć schronienie. Rzeczywiście, była niewielka – najwyżej tysiąc metrów długości i pięćset metrów szerokości. Od północy, zachodu i południa

jej wierzchołek, wznoszący się około stu metrów ponad powierzchnię wody, łączył się z morzem dość łagodnym zboczem. Odmiennie było na wschodzie – wysepka kończyła się urwiskiem, pionowo zagłębiającym się w oceanie.

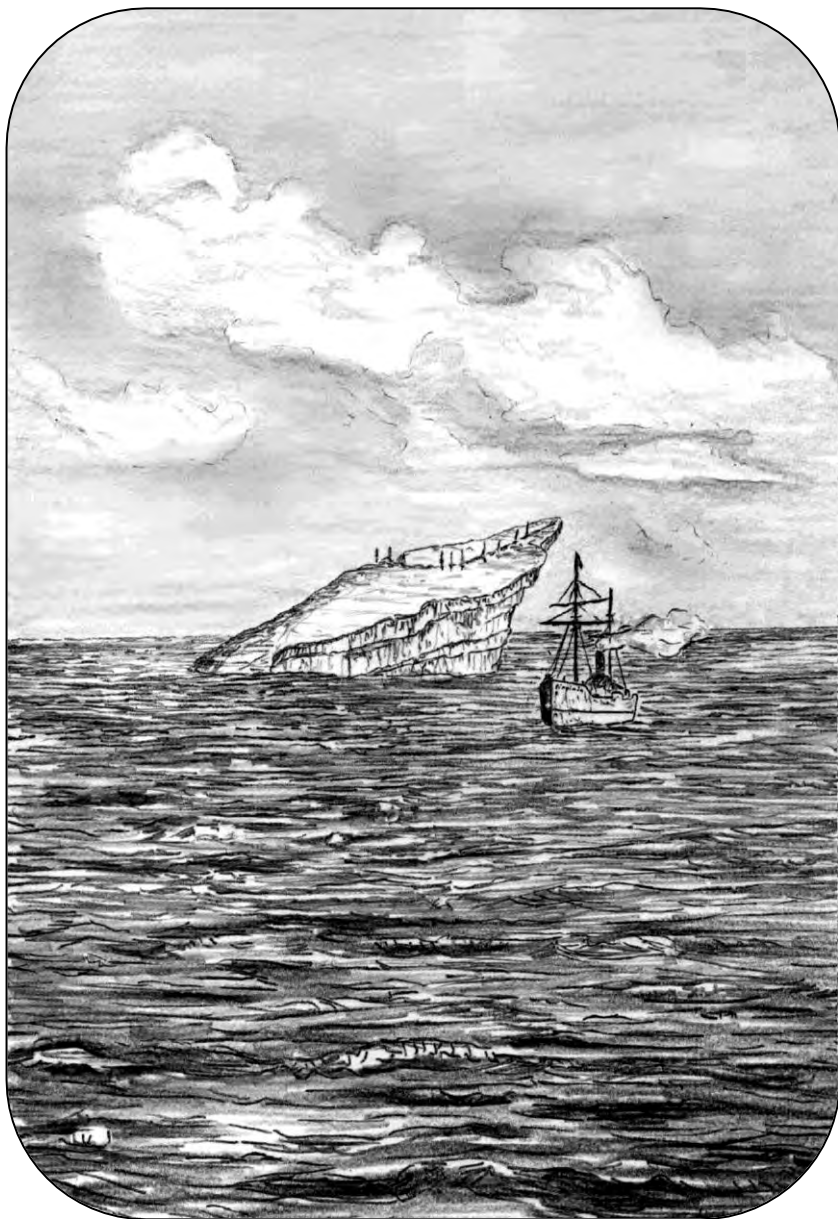
Przed wszystkim w tę stronę skierowały się nasze spojrzenia. W tym kierunku powinniśmy byli zobaczyć spiętrzone góry, a poza nimi cały Meksyk. Jakaż zmiana nastąpiła w ciągu jednej, krótkiej, wiosennej nocy! Góry zniknęły, Meksyk pochłonięty! Na ich miejscu – bezgraniczna pustynia, jałowa pustynia morska!

Spojrzelśmy na siebie przerażeni. Uwięzieni, bez żywności, bez wody, na tej niewielkiej i gołej skale, nie mogliśmy żywić najmniejszej nadziei. Zrezygnowani, położyliśmy się na ziemi i zaczęło się wyciekanie na śmierć.

Na pokładzie „Virginii”, 4 czerwca

Co działo się w ciągu następnych dni? Nic z tego nie zachowało się w mojej pamięci. Należy przypuszczać, że w końcu straciłem przytomność, skoro odzyskałem świadomość dopiero na pokładzie statku, który nas zabrał. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że przebywaliśmy na tej wysepce całe dziesięć dni i że dwóch spośród nas, Williamson i Rowling, zmarło tam z pragnienia i głodu. Z piętnastu osób żyjących, które przebywały w mojej willi w chwili nastąpienia kataklizmu, przetrwało zaledwie dziewięć: mój syn Jean i moja pupilka Helene, mój szofer Simonat, niepokieszony po stracie pojazdu, Anna Raleigh i jej dwie córki, doktorzy Bathurst i Moreno oraz wreszcie ja, który spieszę się z pisaniem tych linijek, aby dać przykład przyszłym pokoleniom, przyjmując, że takowe powinny się narodzić.

„Virginia”, na której pokładzie przebywamy, jest statkiem napędzanym za pomocą pary i żagli, o wyporności około dwóch tysięcy ton, przeznaczonym do transportu towarów. Jest to dość stary statek, miernie trzymający się na wodzie. Kapitan Moris dowodzi dwudziestoma ludźmi. Kapitan i załoga są Anglikami.



Z wybrzeża pozostała tylko wysepka.

„Virginia”, obciążona tylko balastem, wypłynęła ponad miesiąc temu z Melbourne, z przeznaczeniem dotarcia do Rosario. W czasie jej podróży nie miało miejsca żadne wydarzenie, wyjąwszy noc z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty maja, kiedy to wystąpiła seria fal dennych o niezwyklej wysokości, ale proporcjonalnej długości, co sprawiło, że nie były one groźne. Chociaż fale te były dość osobliwe, kapitan nie mógł na ich podstawie przewidzieć kataklizmu, który rozgrywał się w tym samym momencie. Dlatego był bardzo zdziwiony, kiedy w miejscu, gdzie spodziewał się spotkać Rosario i meksykański brzeg, zobaczył tylko bezkresne morze. Z wybrzeża pozostała tylko wysepka. Do tej wysepki, na której odkryto jedenaście leżących bez życia ciał, przyплыnęła szalupa „Virginii”. Dwie osoby już nie żyły, pozostałych dziewięć zabrano do łodzi. W ten oto sposób zostaliśmy uratowani.

Na łodzi. Styczeń lub luty

Osiem miesięcy dzieli ostatnie linijki od pierwszych, które teraz piszę. Datuję je na styczeń lub luty, z powodu niemożliwości bycia bardziej precyzyjnym, ponieważ nie mam zbyt dokładnego wyobrażenia czasu.

Tych osiem miesięcy stanowi najokropniejszy okres naszych ciężkich przeżyć, w którym, przez stopniowe okrutne odmierzanie czasu, poznaliśmy cały rozmiar naszego nieszczęścia.

Po zabraniu nas, „Virginia”, płynąc pełną parą, kontynuowała swoją drogę w kierunku wschodnim. Kiedy doszedłem do siebie, wysepka, na której o mało co nie umarliśmy, dawno już zniknęła za horyzontem. Jak wskazywał pomiar, którego dokonał kapitan przy bezchmurnym niebie, płynęliśmy prosto do miejsca, w którym powinno znajdować się miasto Meksyk. Lecz po Meksyku nie pozostał żaden ślad, nic więcej poza tym, co znaleziono, gdy trwałem w omdleniu. Gdzie środkowe góry? Nie widać było żadnego lądu w zasięgu wzroku. Ze wszystkich stron otaczało nas bezkresne morze.

Było w tym stwierdzeniu coś naprawdę przerażającego. Byliśmy bliscy postradania zmysłów. Jak to? Cały Meksyk zatopiony?...! Wymienialiśmy strwożone spojrzenia, zadając sobie pytanie, dokąd rozciągają się spustoszenia po tym strasznym kataklizmie.

Kapitan postanowił się upewnić. Zmienił drogę statku i obrał kurs na północ. Jeśli nawet Meksyk przestał istnieć, to niemożliwe było do przyjęcia, aby to samo stało się z całym kontynentem amerykańskim.

A jednak tak było! Na próżno płynęliśmy dwanaście dni na północ – nigdzie nie napotkaliśmy lądu. Nie natrafiliśmy także nań, zmieniając ciągle kurs i przez prawie miesiąc kierując się na południe. Jakkolwiek paradoksalna była sytuacja, w której się znaleźliśmy, pozwoliła nam ona zrozumieć, że należy ustąpić wobec oczywistej prawdy. Tak, cały kontynent amerykański osunął się pod powierzchnię morza!

Czyżbyśmy mieli być uratowani tylko po to, aby po raz drugi doznać udręk konania? Doprawdy, mieliśmy powody, aby się tego obawiać. Nie mówiąc o prowiancie, którego nam zabraknie tego lub innego dnia, groziło nam inne, szybko zbliżające się niebezpieczeństwo. Co zrobimy, kiedy, z powodu wyczerpania się zapasów węgla, zatrzymają się maszyny, podobnie jak przestaje bić serce wykrwawionego zwierzęcia? Dlatego też czternastego lipca, kiedy znajdowaliśmy się mniej więcej w miejscu dawnego Buenos Aires, kapitan Moris postanowił wygasić paleniska i wciągnąć żagle. Uczyniwszy to, zwołał wszystkich przebywających na „Virginii” – załogę oraz pasażerów – i pokrótce przedstawił naszą sytuację. Poprosił, abyśmy zastanowili się głęboko i przedstawili propozycję, która uzyskalaby naszą aprobatę na mającej się odbyć następnego dnia naradzie.

Nie potrafię powiedzieć, czy któryś z moich towarzyszy niedoli znalazł mniej lub bardziej pomysłowy środek zaradczy. W każdym razie, jeśli chodzi o mnie, to, przyznaję, wahałem się, nie mając zupełnie pojęcia, w jakim popłynąć kierunku. Jednak nawałnica, która rozpętała się w nocy, sama rozwiązała ten problem. Musieliśmy uciekać na zachód, popychani szalonym wiatrem, nieustannie narażeni na pochłonięcie przez rozwścieczone morze.

Huragan trwał trzydzieści pięć dni – bez chwili przerwy i nawet bez wytchnienia. Zaczęliśmy już wątpić, czy się w ogóle kiedykolwiek skończy, kiedy nagle, dziewiętnastego sierpnia, piękna pogoda powróciła równie niespodziewanie jak się załamała. Kapitan wykorzystał to, aby oznaczyć nasze położenie. Obliczenia wykazały, że znajdujemy się na czterdziestym stopniu szerokości północnej i sto czteremastym stopniu długości wschodniej. To były współrzędne Pekinu!

A więc przepłynęliśmy ponad Polinezję i być może nad Australią, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. W miejscu, gdzie teraz żeglowaliśmy, rozciągała się ongi stolica cesarstwa liczącego czterysta milionów dusz!

Czyżby Azję także spotkał los Ameryki?

Przekonał się o tym wkrótce. „Virginia”, kontynuując swoją drogę kursem południowo-zachodnim, znalazła się na wysokości Tybetu, a następnie Himalajów. Tutaj miały się wznosić najwyższe góry globu. Jednakże, patrząc wokoło, nie było widać niczego, co by się wynurzało ponad powierzchnię oceanu. Należało przypuszczać, że na Ziemi nie istniał już żaden skrawek stałego lądu poza wysepką, która nas uratowała, i że byliśmy jedynymi, którzy przeżyli kataklizm, ostatnimi mieszkańcami świata pogrzebanego w falującym całunie morza!

Jeżeli tak się rzeczy miały, wkrótce przyjdzie na nas kolej, by umrzeć. Mimo bezwzględnego racjonowania kończyły się nasze zapasy żywnościowe zgromadzone na statku, a w tej sytuacji nie mieliśmy najmniejszej nadziei na ich uzupełnienie...

Skracam opis tej straszliwej podróży. Gdybym, dla przytoczenia szczegółów, próbował odtwarzać dzień po dniu, wspomnienia doprowadziłyby mnie do szaleństwa. Z powodu dziwnych i okropnych wydarzeń, które poprzedziły, a później towarzyszyły naszej podróży, jakże żałosna wydawała mi się przyszłość – przyszłość, której nie zobaczę. Nie dość tego – podczas tej piekielnej żeglugi dane nam było poznać apogeum okropności. Och! Ta wieczna gonitwa po morzu bez końca! Oczekiwać każdego dnia wylądowania w jakimkolwiek miejscu i widzieć nieustannie odsuwający się kres podróży! Żyć pochylonym nad mapami, na których ludzie wytyczyli kręte linie brze-

gów, i stwierdzać, że nic, absolutnie nic nie zostało z miejsc, które oni uważali za wiecznie trwające! Mówić sobie, że Ziemia pulsowała niezliczonymi istnieniami, że miliony ludzi i miriady zwierząt przemierzały ją we wszystkich kierunkach lub przecinały przestworza – i wszystko to naraz wymarło; że wszystkie te istnienia zgasły jednocześnie jak mały płomyk pod podmuchem wiatru! Rozglądać się wszędzie za bliźnimi i szukać ich na próżno! Zdobywać powoli pewność, że wokół siebie nie istnieje żadne życie, i stopniowo uświadamiać sobie swoją samotność pośród bezlitosnego wszechświata...!

Czy znalazłem odpowiednie słowa mogące wyrazić naszą trwożę? Nie wiem. W żadnym języku nie istnieją słowa adekwatne do tej bezprecedensowej sytuacji.

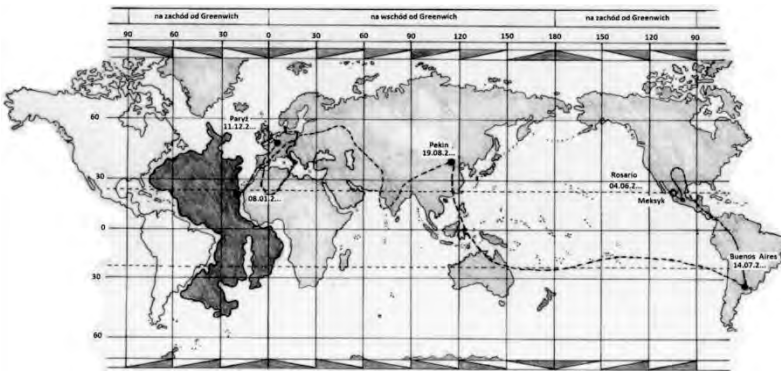
Po przeszukaniu morza, które było dawniej półwyspem Indyjskim, ponownie przez dziesięć dni kierowaliśmy się na północ, a następnie obraliśmy kurs na zachód. Przekroczyliśmy łańcuch Uralu, będący obecnie górami podwodnymi, co w najmniejszym stopniu nie zmieniło naszego położenia, i płynęliśmy nad czymś, co niegdyś było Europą. Następnie podążyliśmy na południe, aż do dwudziestego stopnia poniżej równika, po czym, zmęczeni naszym daremnym poszukiwaniem, podjęliśmy drogę na północ i pokonaliśmy, aż do Pirenejów, obszar wodny pokrywający Afrykę i Hiszpanię. Doprawdy, zaczęliśmy oswajać się z naszym przerażeniem. W miarę jak posuwaliśmy się do przodu znaczyliśmy naszą drogę punktami na mapach i mówiliśmy, z ciągle wzrastającą obojętnością, w czym pomogło przyzwyczajenie: „Tutaj była Moskwa... Warszawa... Wiedeń... Rzym... Tunis... Timbaktu... Saint Louis... Oran... Madryt...”. Słowa te, w rzeczywistości jakże tragiczne, zdarzało się nam wymawiać bez wzruszenia.

Jednakże przynajmniej ja nie wyczerpałem swoich możliwości cierpienia. Zdałem sobie z tego sprawę w dniu – było to mniej więcej jedenastego grudnia – kiedy kapitan Moris powiedział mi: „Tutaj był Paryż...”. Po tych słowach poczułem, jakby mi wyrwano duszę. Że cały świat został pochłonięty – zgoda! Ale Francja – moja Francja! Paryż, który ją symbolizował...!

Obok siebie usłyszałem jakby szloch. Odwróciłem się: to płakał Simonat.

Jeszcze przez następne cztery dni kontynuowaliśmy naszą drogę na północ. Po przybyciu na wysokość Edynburga skierowaliśmy się na południowy zachód, w poszukiwaniu Irlandii. Następnie nasza droga prowadziła na wschód... W rzeczywistości błąkaliśmy się na chybił trafił, jako że nie było już żadnych przyczyn, aby kierować się w tę lub inną stronę.

Przepełniliśmy nad Londynem a cała załoga oddała część jego płynnemu grobowcowi. Pięć dni później, kiedy znaleźliśmy się na wysokości Gdańska, kapitan Moris, który zmieniał kurs za kursem, rozkazał w końcu skierować się na południowy zachód. Sternik biernie wykonał rozkaz. Cóż innego mógł zrobić? Czyż w każdym miejscu nie było tak samo...?



To był dziewiąty dzień naszej żeglugi w kierunku wskazywanym przez kompas, kiedy zjedliśmy ostatni kawałek suchara.

Kiedy tak spoglądaliśmy na siebie błędnym wzrokiem kapitan Moris wydał nagle rozkaz ponownego rozpalenia pod kotłami. Jaka myśl przyszła mu do głowy? Chciałem go o to zapytać. Cokolwiek by to nie było, rozkaz został wykonany i szybkość statku zwiększyła się.

Dwa dni później cierpieliśmy już strasznie z powodu głodu. Po kolejnych dwóch dniach prawie wszyscy odmówili wstania. Jedynie kapi-

tan, Simonat, kilku ludzi załogi i ja mieliśmy dość siły, aby móc utrzymać statek na kursie.

Nazajutrz, piątego dnia głodówki, liczba sterników i mechaników-ochotników jeszcze się zmniejszyła. Zdawano sobie sprawę, że za dwadzieścia cztery godziny nikt nie będzie miał siły utrzymać się na nogach.

Żeglowaliśmy już od ponad siedmiu miesięcy. W tym czasie przeoraliśmy morze we wszystkich kierunkach. Sądzę, że było to ósmego stycznia – mówię „sądzę”, ponieważ nie potrafię być bardziej dokładny, jako że kalendarz od jakiegoś czasu stracił dla nas wiele ze swojej dokładności.

Otóż było to tego dnia, kiedy trzymałem ster i całą moją słabnącą uwagę skupiałem na utrzymaniu linii kursu, i kiedy nagle wydało mi się, że widzę coś w kierunku zachodnim. Sądząc, że padłem ofiarą jakiejś pomyłki, wytrzeszczałem oczy...

Nie, nie myliłem się!

Wydałem prawdziwy ryk, a następnie, przytrzymując się koła sterowego, krzyknąłem z całej siły:

– Łąć przed nami od prawej burty!

Jakiż magiczny skutek miały te słowa! Wszyscy umierający naraż odżyli i ich wychudłe twarze ukazały się ponad barierką prawej burty.

– Tak, to na pewno łąć – powiedział kapitan Moris po przyjrzeniu się chmurze, która ukazała się na horyzoncie.

Pół godziny później nie można już było żywić najmniejszej wątpliwości. To z pewnością był łąć, na który natrafiliśmy na pełnym Atlantyku, po nadaremnych poszukiwaniach na całej powierzchni byłych kontynentów!

Okolo trzeciej po południu pierwsze szczegóły wybrzeża, które zagradzało nam drogę, zaczęły stawać się coraz wyraźniejsze i poczuliśmy, jak odradza się nasza nadzieja. Tyle tylko, że naprawdę ten brzeg nie był podobny do żadnego innego i nikt spośród nas nie przypominał sobie czegoś tak absolutnie, tak całkowicie dzikiego.

Na ziemi, takiej jaką zamieszkiwaliśmy przed katastrofą, kolorem dominującym była zieleń. Nikt z nas nie znał wybrzeża tak pozbawionego wszystkiego, krainy tak nieurodzajnej, że nie można było tam napotkać jakichś krzewów, nawet kilku kępek kolcolistów, a nawet zwyczajnie śladów porostów czy mchów. Tutaj nic takiego nie było. Widać było jedynie czarniawy, wysoki i urwisty brzeg, u którego stóp spoczywały chaotycznie nagromadzone bloki skalne, bez jednej rośliny, chociaż jednego źdźbła trawy. Większego pustkowia nie można było sobie wyobrazić.

Dwa dni płynęliśmy wzdłuż tej stromej falezy, nie mogąc znaleźć w niej najmniejszej szczeliny. Dopiero pod wieczór drugiego dnia odkryliśmy rozległą zatokę, dobrze chronioną przed wiatrami od morza, i w jej głębi rzuciliśmy kotwicę.

Przedostawszy się natychmiast łodziami na ląd, w pierwszej kolejności zajęliśmy się zbieraniem żywności. Plażę pokrywały setki żółwi i miliony mięczaków. W zagłębieniach podwodnych skał widać było niespotykaną ilość krabów, homarów i langust, bez szkody dla niezliczonych ryb. Z całą pewnością to tak obficie zaludnione morze potrafiłoby, w braku innych środków do życia, zapewnić nam żywność na nieograniczony czas.

Po pokrzepieniu się, udaliśmy się w kierunku wcięcia w stromym zboczu, które pozwoliło nam wspiąć się na płaskowzgórze, gdzie odsłoniła się przed nami rozległa okolica. Nie omyliliśmy się co do wyglądu wybrzeża. Zewsząd, we wszystkich kierunkach, były tylko nagie skały, pokryte wodorostami i trawą morską, przeważnie wysuszoną, bez śladu najmniejszego bodaj źdźbła trawy, bez jakiegokolwiek śladu życia ani na ziemi ani w powietrzu. Gdziekolwiek tylko błyszczały w promieniach słońca małe jeziorka, czy raczej stawy. Kiedy chcieliśmy ugasić pragnienie, przekonaliśmy się, że woda jest słona.

Prawdę mówiąc, nie byliśmy tym zaskoczeni. Fakt ten potwierdzał to, co przypuszczaliśmy od pierwszego wejrzenia, a mianowicie, że ten nieznany kontynent narodził się niedawno, że wynurzył się jako

jeden blok z głębin morskich. Tłumaczyłoby to zarówno jego jałowość jak i całkowite pustkowienie. To by też wyjaśniało grubą, jednostajnie rozpościerającą się warstwę mułu, który na skutek parowania zaczynał pękać i zamieniać się w pył.

Nazajutrz, w południe, obliczenia wskazały 17° 20' szerokości północnej i 23° 55' długości zachodniej. Przenosząc to na mapę, mogliśmy zobaczyć, że punkt znajdował się na pełnym morzu, mniej więcej na wysokości Wysp Zielonego Przylądka. A przecież na zachodzie ziemia, a na wschodzie morze, rozciągały się jak daleko okiem sięgnąć.

Choć kontynent, na którym postawiliśmy stopę, był odpychający i niegościnnie, zmuszeni byliśmy się tym zadowolić. Dlatego bezwzględnie przystąpiliśmy do rozładowania „Virginii”. Wnieśliśmy na płaskowyż wszystko, co zawierała, bez wybierania i selekcjonowania. Przedtem jednak zabezpieczyliśmy porządnie statek czterema kotwicami zrzuconymi na piętnaście sążni głębokości. W tej spokojnej zatoce nie było żadnego niebezpieczeństwa i spokojnie mogliśmy opuścić statek, pozostawiając go samemu sobie.

Jak tylko zakończyliśmy wyładunek, zaczęło się nasze nowe życie. Przede wszystkim należało...

Dotarłszy do tego punktu, zartog Sofr musiał przerwać swe tłumaczenie. W tym miejscu w rękopisie była pierwsza luka, prawdopodobnie bardzo znaczna, sądząc po brakującej ilości tak interesujących stron. Po niej następowały inne, jeszcze bardziej pasjonujące, o ile w ogóle można to było ocenić. Bez wątpienia duża ilość stron, mimo zabezpieczenia etui, uległa zniszczeniu pod wpływem działania wilgoci. W rezultacie pozostały tylko mniej lub bardziej obszernie fragmenty kartek, których treść uległa wcześniej zniszczeniu. Następowaly w takiej kolejności:

...zaczynamy się aklimatyzować.

Ile czasu upłynęło od naszego lądowania na tym brzegu? Już nie wiem tego zupełnie. Zapytałem o to doktora Moreno, który prowadzi

kalendarz minionych dni. Powiedział mi: „sześć miesięcy”, dodając: „z dokładnością do kilku dni”, ponieważ bał się pomyłki.

Więc już do tego doszło! Minęło tylko sześć miesięcy, a my nie jesteśmy pewni daty. To bardzo wymowne!

Zresztą w naszym zaniedbaniu nie ma nic zadziwiającego. Całą naszą uwagę, wszystkie nasze czynności poświęcamy przetrwaniu. Wyżywienie stało się problemem, którego rozwiązanie wymaga całego dnia. Co jemy? Ryby, gdy je tu znajdziemy, co z dnia na dzień staje się trudniejsze, ponieważ nasze bezustanne łowy przepłoszyły je. Jemy też jaja żółwi i niektóre jadalne wodorosty. Wieczorem jesteśmy syści ale tak wyczerpani, że myślimy tylko o spaniu.

Z żagli „Virginii” zmontowaliśmy naprędce namioty. Uważam, że w najbliższym czasie trzeba będzie zbudować solidniejsze schronienie.

Od czasu do czasu ustrzelimy jakiegoś ptaka. Przestworza nie są tak opustoszałe jak początkowo przypuszczaliśmy. Na tym nowym kontynencie reprezentowanych jest około dziesięciu znanych gatunków. Są to wyłącznie długodystansowcy: jaskółki, albatrosy, maskonury i kilka innych. Należy sądzić, że nie znajdują one pożywienia na tej jałowej ziemi, gdyż cały czas krążą wokół naszego obozowiska w poszukiwaniu resztek naszych nędznych posiłków. Czasami podnosimy takiego, który zginął z głodu, i w ten sposób oszczędzamy proch i strzelby.

Na szczęście są szanse na poprawę naszej sytuacji. W ładowni „Virginii” odkryliśmy worek zboża i posialiśmy połowę. Kiedy zboże wyrośnie, będzie to wielkie urozmaicenie. Ale czy wszędzie? Ziemia pokryta jest grubą warstwą namułu, złożonego z piaszczystego mułu, użyźnionego przez rozkładające się wodorosty. Nieco kiepski jeśli chodzi o jego jakość – jednakże jest to humus. Kiedy przybiliśmy do brzegu, był nasycony solą, ale od tego czasu ulewne deszcze tak obficie przepłukały powierzchnię, że wszelkie zagłębienia wypełnione są obecnie słodką wodą.

Jednakże warstwa aluwialna jest pozbawiona soli tylko do małej głębokości. Wszystkie strumienie i nawet rzeki, które dopiero się formują, są mocno zasolone, co dowodzi, że głębiej gleba jest jeszcze bardzo nasycona.

By wysiać zboże i zachować drugą połowę w rezerwie, niemal trzeba było się bić. Część załogi „Virginii” chciała natychmiast zrobić z niego chleb. Byliśmy zmuszeni do...

...które mieliśmy na pokładzie „Virginii”. Te dwie pary królików uciekły w głąb płaskowyżu i już więcej ich nie ujrzelśmy. Należy sądzić, że znalazły pożywienie. Ziemia, bez naszej wiedzy, wytwarzałaby więc...

...jesteśmy tutaj już od co najmniej dwóch lat...! Zboże obrodziło wspaniale. Chleba mamy właściwie pod dostatkiem, a nasze pola uprawne wciąż się powiększają. Ale jakaż walka z ptakami! Rozmnożyły się niesamowicie i wszędzie wokół naszych upraw...

Mimo zgonów, o których pisałem wcześniej, małe plemię, jakie tu tworzyliśmy, nie zmniejszyło się, wręcz przeciwnie. Mój syn i moja wychowanka mają trójkę dzieci, a każde z trzech pozostałych małżeństw ma tyle samo. Cała ta dzieciarnia tryska zdrowiem. Świadczy to o tym, że rodzaj ludzki, od chwili kiedy tak zmniejszyła się jego liczebność, posiada znacznie większą moc i znacznie silniejszą żywotność. Lecz oby procesy...

...tutaj od dziesięciu lat i nic nie potrafimy powiedzieć o tym kontynencie. Znamy go zaledwie w promieniu kilku kilometrów od miejsca naszego wylądowania. To doktor Bathurst zawstydził nas, wytykając nam brak energii. Za jego namową przygotowaliśmy „Virginię”, co wymagało prawie sześciu miesięcy pracy, i wyruszyliśmy na wyprawę badawczą.

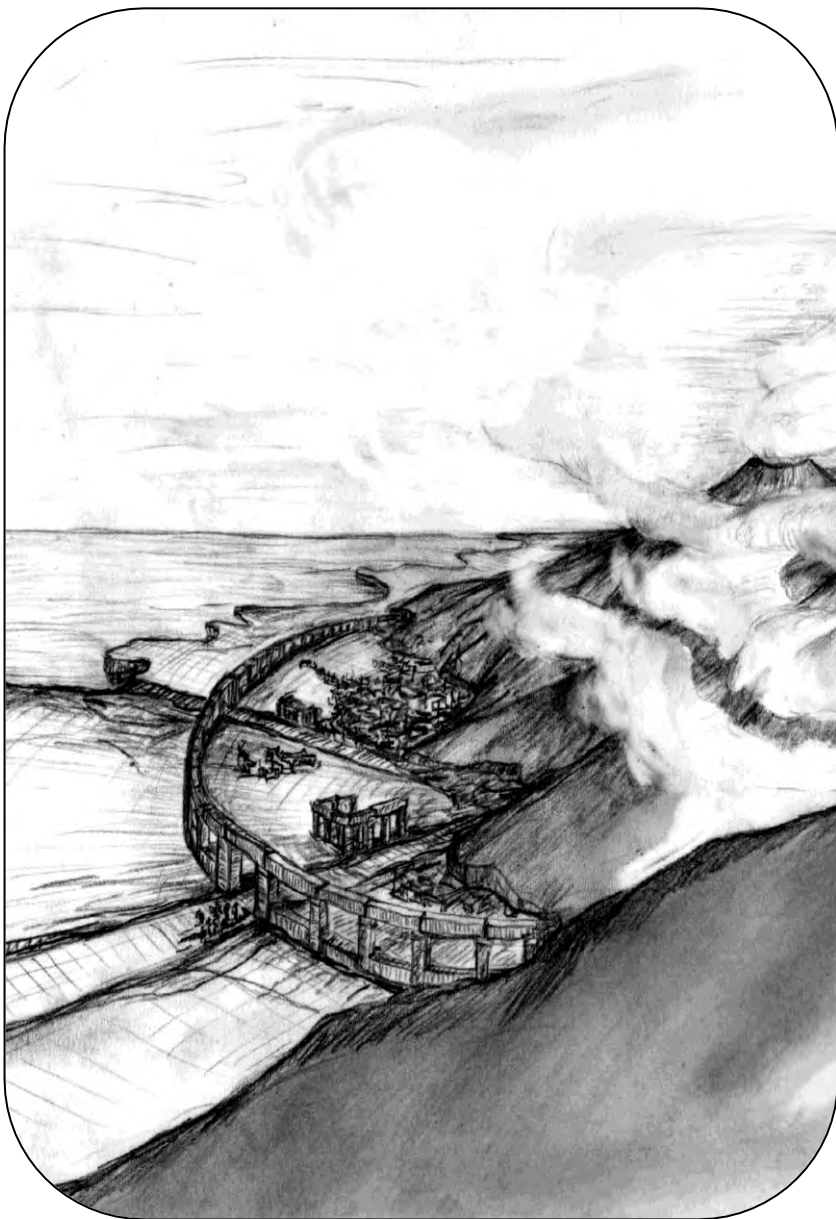
Właśnie przedwczoraj wróciliśmy. Podróż trwała dłużej niż planowaliśmy, ponieważ pragnęliśmy, aby była kompletna.

Opłynęliśmy dookoła cały kontynent, na którym przebywamy, i który – wszystko na to wskazuje – musi być, wraz z naszą wysepką, jedynym kawałkiem stałego lądu istniejącego na powierzchni kuli ziemskiej. Jego brzegi wydały nam się wszędzie takie same, to znaczy bardzo poszarpane i bardzo dzikie.

Nasza żegluga przerywana była licznymi wycieczkami w głąb lądu, szczególnie mającymi na celu znalezienie śladów archipelagu Azorów i Madery, położonych przed kataklizmem na Oceanie Atlantyckim, które w związku z tym powinny stanowić nieodzownie część nowego kontynentu. Nie rozpoznaliśmy najmniejszych ich szczątków. Wszystko, co udało nam się stwierdzić, to to, że w miejscu tych wysp ziemia była poruszona i pokryta grubą warstwą lawy, i że bez wątpienia wyspy znalazły się w centrum gwałtownych zjawisk wulkanicznych.

Przykładowo, o ile nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy, to znaleźliśmy to, czego nie szukaliśmy. Na wysokości Azorów ujrzelśmy, częściowo pogrążone w lawie, dowody pracy ludzi – ale nie mieszkańców Azorów, naszych wczorajszych współczesnych. Były to szczątki kolumn albo glinianych naczyń, jakich nigdy nie widzieliśmy. Po ich zbadaniu doktor Moreno zasugerował, że szczątki te musiały pochodzić z antycznej Atlantydy i że strumień wulkaniczny wydobyl je na światło dzienne.

Być może doktor Moreno ma rację. W rzeczy samej legendarna Atlantyda, o ile w ogóle istniała, zajmowała mniej więcej miejsce nowego kontynentu. W takim razie była to osobliwa rzecz – obecność trzech cywilizacji w tym samym miejscu; trzech cywilizacji, które jednak nie pochodziły jedna od drugiej. Przyznaję, że jakkolwiek by



O ile nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy,
to znaleźliśmy to, czego nie szukaliśmy.

było, zagadnienie to jest zupełnie obojętne. Mamy zbyt wiele rzeczy do zrobienia dzisiaj, aby zajmować się przeszłością.

Dopiero po powrocie do obozowiska uderzył nas fakt, że, w porównaniu z resztą krainy, nasze najbliższe otoczenie mogło uchodzić za okolicę uprzywilejowaną. Uwaga ta dotyczy wyłącznie barwy zielonej, tak niegdyś dominującej w przyrodzie. Nie jest on tutaj tak zupełnie niespotykany, podczas gdy reszta kontynentu jest go zupełnie pozbawiona. Aż do tej pory nie zauważaliśmy tego, ale rzecz jest niezaprzeczalna. Nieistniejące w chwili naszego lądowania żółta trawy rozprzestrzeniły się teraz obficie wokół nas. Należą zresztą do kilku najpospolitszych odmian. Ich ziarna zostały z całą pewnością przyniesione przez ptaki.

W związku z powyższym opisem nie należy wysnuwać wniosku, że, oprócz tych kilku gatunków dawnej roślinności, nie ma innej wegetacji. Wręcz przeciwnie. W efekcie przedziwnych przeobrażeń adaptacyjnych roślinność istnieje na całym obszarze kontynentu – co prawda w stanie szczątkowym, ale obiecującym.

Morskie rośliny, którymi ziemia pokryta była w chwili wynurzenia się kontynentu z wody, w większości wyginęły pod wpływem promieni słonecznych. Jednakże niektórym z nich udało się przetrwać w stawach, jeziorach i kałużach, stopniowo jednak wysychających z powodu wysokich temperatur. W tym okresie zaczęły tworzyć się strumienie i rzeki, o tyle bardziej odpowiednie dla traw morskich i wodorostów, że ich wody były zasolone. W miarę jak powierzchnia, a później głębsze warstwy gleby, pozbawiane były soli i woda stawała się słodka większość tych roślin uległa zniszczeniu. Jednak niewielka ich część dała radę przystosować się do nowych warunków życia i rozwijała się w słodkiej wodzie, jak uprzednio rozwijała się w słonej. Ale fenomen ten nie zakończył się na tym. Niektóre z tych roślin, obdarzone większymi zdolnościami akomodacyjnymi, po przystosowaniu się do życia w słodkiej wodzie zaadaptowały się do życia na wolnym powietrzu. Najpierw przy brzegach, później stopniowo rozprzestrzeniły się w głąb lądu.

Jesteśmy zdumieni tymi przekształceniami żywych organizmów i możemy obserwować, jak poszczególne formy zmieniają się równolegle z ich roślinnością. Już teraz kilka łódzek wznosi się nieśmiało ku niebu. Należy się spodziewać, że pewnego dnia w ten sposób odrodzi się cała flora i wywiąże się zażarta walka między gatunkami nowymi i tymi pochodzącymi ze starego porządku.

Podobnie jak z florą dzieje się też z fauną. W okolicach cieków wodnych można zauważyć, jak dawne zwierzęta morskie – przeważnie mięczaki i skorupiaki – przeistaczają się w ziemne. W powietrzu pełno jest latających ryb – bardziej ptaków niż ryb. Płetwy ich niezwykle się rozrosły, a wygięte ogony pozwalają im...

Ostatni, nieuszkodzony fragment rękopisu zawierał koniec tych zapisków:

...wszyscy starzy. Kapitan Moris nie żyje. Doktor Bathurst ma sześćdziesiąt pięć lat, doktor Moreno sześćdziesiąt, ja sześćdziesiąt osiem. Wkrótce wszyscy zakończymy życie. Wcześniej jednak dokończymy podjęte zadanie i, na ile jest to w naszej mocy, pomożemy przyszłym pokoleniom w walce, która je czeka.

Ale czy pojawią się te przyszłe pokolenia?

Mogę odpowiedzieć „tak”, jeżeli wezmę pod uwagę tylko rozmnażanie się moich bliźnich. Szybko przybywa dzieci. W tym zdrowym klimacie, w tej krainie, gdzie nie występują drapieżne zwierzęta, znacznie wzrosła długość życia. Nasza kolonia potroiła liczbę mieszkańców.

Zmuszony jednak jestem odpowiedzieć „nie”, jeżeli wezmę pod uwagę głęboki upadek intelektualny moich towarzyszy niedoli.

Nasza mała grupa rozbitków była w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ mogła korzystać z ludzkiej wiedzy. Znajdowali się wśród nas: człowiek wyjątkowo energiczny – dzisiaj już nieżyjący kapitan Moris; dwóch ludzi ponadprzeciętnie wykształconych – mój syn i ja; wreszcie dwóch prawdziwych uczonych – doktor Bathurst i doktor

Moreno. Posiadając w grupie takich osobników, można było czegoś dokonać. Ale nie zrobiono nic. Naszą jedyną troską od początku była – i jest jeszcze – sprawa utrzymania się przy życiu. Tak jak na początku, cały nasz czas poświęcamy na zdobywanie pożywienia, a wieczorem, wyczerpani, zapadamy w ciężki sen.

Pewne jest – niestety zbyt pewne – że ludzkość, której jesteśmy jedynymi przedstawicielami, znalazła się na drodze szybkiego upadku i zbliża się do zezwierzęcenia! U marynarzy z „Virginii”, ludzi już dawniej nieokrzesanych, wzmożyły się oznaki zwierzęcości. Mój syn i ja zapomnieliśmy już to, co kiedyś wiedzieliśmy. Nawet sam doktor Moreno i doktor Bathurst pozwolili swoim umysłom leżeć odłogiem. Można wręcz powiedzieć, że nasze życie umysłowe przestało istnieć.

Szczęśliwie się stało, że przed laty opłynęliśmy dookoła nasz kontynent! Dzisiaj już nie starczyłoby nam tamtej odwagi. Poza tym nie żyje kapitan Moris, który kierował wyprawą, a „Virginia”, która nas wozila, rozpadła się ze starości.

Na początku naszego tu pobytu niektórzy z nas podjęli się budowy domów. W chwili obecnej te niedokończone budowle walą się w gruzy. Wszyscy, niezależnie od pory roku, śpimy na gołej ziemi.

Już dawno nie zostało nic z naszych ubrań. Przez kilka lat staraliśmy się zastąpić je tkanymi z wodorostów materiałami, które z czasem stawały się coraz bardziej zgrzebne. Później łagodny klimat sprawił, że, znużeni wysiłkiem, przestaliśmy nosić odzież. Żyjemy nadzy jak ci, których niegdyś nazywaliśmy dzikusami.

Jedzenie, jedzenie – to jest nasz jedyny cel, наша wyłączna troska.

Mimo wszystko jednak zachowały się jeszcze jakieś resztki naszych dawnych myśli i byłych uczuć. Mój syn Jean, teraz dojrzały już mężczyzna i dziadek, nie stracił do końca swego poczucia wrażliwości, a mój były szofer Modeste Simonat zachował mgliste wspomnienie o tym, że kiedyś byłem jego pracodawcą.

Ale razem z nimi, razem z nami, te nieuchwytnie cechy ludzi, którymi kiedyś byliśmy – bo tak naprawdę nie jesteśmy już ludźmi – znikną



Jedzenie, jedzenie – to jest nasz jedyny cel, nasza wyłączna troska.

na zawsze. Ci z przeszłości, ci urodzeni tutaj, nie zaznają innej egzystencji. Ludzkość ograniczona będzie do tych dorosłych – w chwili, gdy to piszę, mam ich przed oczyma – którzy nie potrafią ani pisać, ani liczyć, a i mówią z trudnością; do tych dzieci o ostrych zębach, które wydają się składać z samego tylko żołądka. Po nich będą kolejni dorośli i kolejne dzieci, później następni, coraz bardziej podobni zwierzętom i coraz bardziej oddaleni od swoich myślących przodków.

Wydaje mi się, że widzę ich, tych przyszłych ludzi, niepomnych artykułowanej mowy, o ograniczonej inteligencji, ciałach pokrytych szorstką sierścią, blakających się po tym posępnym pustkowiu...

Nie! Chcemy spróbować, żeby do tego nie doszło! Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby zdobyć ludzkość, której ja stanowią część, nie poszły na marne. Doktor Moreno, doktor Bathurst i ja pobudzimy nasze zgnuśniałe mózgi, zmusimy je do przypomnienia sobie tego, czego się już nauczyły i wiedziały. Dzieląc się pracą, na tym papierze i tym atramentem pochodzącymi z „Virginii”, będziemy przedstawiać wszystko to, co jest nam wiadome z różnych dziedzin nauki, aby później ludzie – jeśli się zagubią, i jeżeli po okresie mniej lub bardziej długiego prymitywizmu poczują odradzające się w nich pragnienie wiedzy – znaleźli podsumowanie dokonań swych poprzedników. Będą mogli wtedy wspomnieć tych, którzy spróbowali w szczególny sposób skrócić bolesną drogę swych braci, których nie dane im było poznać!

Na progu śmierci

Od napisania ostatnich linijek minęło około piętnastu lat. Nie ma już doktora Bathursta ani doktora Moreno. Ze wszystkich, którzy tu wylądowali, ja jestem jednym z najstarszych i pozostałem prawie sam. Ale teraz już śmierć zbliża się do mnie. Czuję, jak powoli przenika od moich lodowatych stóp po serce, które wkrótce przestanie bić.



Ze wszystkich, którzy tu wylądowali,
ja jestem jednym z najstarszych i pozostałem prawie sam.

Nasze dzieło zostało ukończone. Rękopisy, zawierające streszczenie wiedzy ludzkiej, zamknąłem w żelaznej skrzynce pochodzącej z pokładu „Virginii”, którą zakopałem głęboko w ziemi. Obok kładę tych kilka kartek włożonych do aluminiowego etui. Czy ktoś kiedykolwiek znajdzie ten depozyt powierzony ziemi? Czy przynajmniej ktoś go będzie szukał?

To już sprawa przeznaczenia. Boże prowadź...!



III

W miarę tłumaczenia tego dziwaczного dokumentu Sofr czuł coraz bardziej, iż ogarnia go przerażenie. Jak to! Rasa Andarti Iten Schu miałyby pochodzić od ludzi, którzy po długich miesiącach błąkania się po bezkresnych oceanach przybili do miejsca, w którym wznosi się teraz Basidra? A więc te nędzne stworzenia stanowiły część wspaniałej cywilizacji, w porównaniu z którą obecna zaczynała dopiero raczkować! Co natomiast wystarczyło do obalenia na zawsze nauki i nawet wspomnień o tym kiedyś tak potężnym ludzie? Mniej niż nic! Ledwo dostrzegalny dreszcz, który obiegł skorupę ziemską.

Jakaż to niepowetowana strata, że rękopisy, o których mowa w dokumencie, uległy zniszczeniu wraz z żelazną skrzynką! Bez względu na rozmiar tego nieszczęścia nie można było jednak żywić żadnej nadziei ich odnalezienia, bowiem robotnicy dokładnie przeszukali ziemię we wszystkich kierunkach. Nie ulegało wątpliwości, że żelazna kasetka uległa korozji, podczas gdy aluminiowe etui przetrwało z wycięsko próbę czasu.

Zresztą już nic więcej nie było trzeba, aby Sofr całkowicie stracił swój optymizm. Jeśli nawet dokument nie zawierał żadnych szczegółów technicznych, to obfitował we wskazówki ogólne i w sposób niepodważalny udowadniał, że w przeszłości ludzkość znacznie dalej posunęła się na drodze poznania prawdy, niż miało to miejsce w obecnych czasach. W tej opowieści było wszystko – pojęcia znane Sofrowi i inne, których on nie ośmieliłby się nawet sobie wyobrazić, łącznie z wyjaśnieniem imienia Edom, na temat którego wikłano się w tyle bezowocnych polemik. Edom to zniekształcenie imienia Edem, które z kolei było zniekształceniem Adama, który to Adam wreszcie pochodził być może od jakiegoś innego, jeszcze starszego słowa.

Edom, Edem, Adam – to odwieczny symbol pierwszego człowieka, to również wytłumaczenie jego pojawienia się na Ziemi. Sofr nie miał

więc racji, wypierając się swego przodka, którego realność bezsprzecznie udowadniał dokument. To lud miał rację, wierząc w przodków sobie podobnych. Również w innych dziedzinach ludzie Andarti Iten Schu niczego nowego nie odkryli. Zadawali się powtarzaniem tego, co wymyślono przed nimi.

Być może współcześni autorowi tekstu wcale nie wymyślili więcej. Być może oni także oparli się na zdobyczach innych cywilizacji, żyjących przed nimi na Ziemi. Czyż dokument nie wspominał o ludziach zwanych Atlantydami? To właśnie od tych Atlantydów pochodziły ledwo zauważalne szczątki leżące pod warstwą mułu morskigo, odkryte w czasie wykopalisk prowadzonych przez Sofra. Jaki stopień wiedzy osiągnął ten antyczny lud w chwili, kiedy inwazja oceanu usunęła go z powierzchni Ziemi?

Bez względu na poziom cywilizacji po katastrofie nic nie zostało i człowiek musiał rozpocząć od samego początku swoją drogę ku postępowi.



Być może tak samo stanie się z ludem Andarti Iten Schu. Być może to samo będzie po nich aż do dnia...

Czy nadejdzie kiedyś dzień, w którym zostaną zaspokojone nienasycone pragnienia człowieka? Czy nadejdzie kiedykolwiek dzień, w którym, po zakończeniu wdrapywania się po pochyłości, będzie on mógł odpocząć na wreszcie zdobytym szczycie?

Oto o czym myślał zartog Sofr, pochylony nad szacownym rękopisem.

Owa pozagrobowa relacja skłoniła go do rozmyślań o tym strasznym dramacie, jaki rozgrywa się bezustannie we wszechświecie. Jego serce pełne było współczucia. Całkowicie przygnębiony niezliczonymi cierpieniami, których doznali ci, co żyli przed nim, uginając się pod ciężarem daremnych wysiłków podejmowanych w nieskończoności czasu, zartog Sofr uświadamiał sobie powoli bolesną prawdę o bezustannym rozpoczynaniu rzeczy na nowo.

KONIEC



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!